Nr. 53. Lwów — Wtorek dnia 5 Marca. Rok 1895.

Wychodzi w dni powszednie o godzinie 3 po południu z datą dnia następnego.

NUMER KOSZTUJE
we Lwowie . . . . . . 4 ct.
na prowincyi . . . . . . 6 „
Num. z poprzednich miesięcy po 10 ct.

Wszelkie „Doniesienia prywatne“ jako o zaręczynach, ślubach, weselach, nabożeństwach żałobnych, pogrzebach, wszelkie nekrologi, opisy uczt i zabaw prywatnych, wszelkie reklamy dla balów, odczytów i koncertów, wszelkie spisy składek, doniesienia o zgubach lub o znalezionych przedmiotach i t. d. i t. d. po 50 centów od wiersza.

PRZEGLĄD

POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata z przesyłką pocztową wynosi:
w kraju i w Austryi miesięcznie 1 złr. 10 ct.
w Niemczech „ 1 „ 50 „
w innych państwach „ 2 „ — „
Za zmianę adresu opłaca się 20 ct.
Opłatę należy uiścić równocześnie z żądaniem zmiany adresu.

CENY OGŁOSZEŃ
Zwyczajne ogłoszenia na czwartej stronicy:
Wiersz petitowy albo jego miejsce . . 10 ct.
W „Drobnych ogłoszeniach“ za każde słowo drukiem petitowym po . . . 2 „
zaś tłustym garmondem po . . . 4 „
Korespondencye prywatne za każde słowo drukiem petitowym po . . . . 4 „
Nadesłane na trzeciej stronicy:
Ogłoszenia, wiersz petitowy albo jego miejsce 30 ct.
Reklamy . . . . 20 „
Nekrologia . . . . 20 „
Ogłoszenia do „Przeglądu“ przyjmuje „BIURO DZIENNIKÓW“ ul. Karola Ludwika l. 9.

Dziś: św. Fryderyka Op. Tymofteja
Jutro: Such. św. Kolety SS. Mucz. w Ef.
Adres Redakcyi i Administracyi: Ulica Sykstuska l. 45.
Naczelny Redaktor i Wydawca: **Ludwik Masłowski.**
Wschód słońca g. 6 m. 42 Zachód „ 5 „ 44
Długość dnia g. 11 m. 2 Przybyło dnia od wczoraj m. 5

Przegląd polityczny.

Lwów 4 marca.

Republika francuska tak się rozchwiała, że największi jej wielbiciele uznali nareszcie, iż potrzebuje gruntownej naprawy. Rzeczywiście, trudno już dłużej utrzymywać, że jest ona w dobrym stanie, kiedy między maszyną rządową a społeczeństwem powstała niezgłębiona przepaść, nierozumienie się wzajemne, nieufność i jawna niechęć. Są to jakby dwie siły wrogie, które się ciągle ze sobą mocują i zużywają się w tej daremnej walce, aż doszło do tego, że wywierają na siebie wpływ tylko ujemny. O naród nie dbają rządzący, a tym znowu naród odmówił poparcia, w skutek czego każdy rząd i każdy parlament zawsze się czuje jakby zawieszonym w powietrzu. Wybory do rady miejskiej w Marsylii, gdzie na 81 tysięcy uprawnionych do głosowania zgłosiło do niego dwukrotnie nie więcej jak 16 tysięcy i to samej jeno zbieraniny ulicznej, dowodzą ogromnego zniechęcenia obywatelstwa. Jeszcze jaskrawiej uwydatniło się to w Saint Denis. Tam radykalne stronnictwo w spółce z socyalistami, popełniwszy szereg krzyczących nadużyć, przeforsowało wybór rady socyalistycznej, a za to samo otrzymało mandaty do parlamentu i rady departamentalnej. Obywatelstwo wniosło rekurs, wykazało popełnione nadużycia, ale rząd, kokietujący z radykałami i socyalistami, rzucił tę skargę do kosza. Rok tylko minął, ale rada, gospodarując żwawo, rozkradła cały majątek gminny, wszystkie fundusze dobroczynne i w końcu z domu ubogich wypędziła starców i staruszki, a osiedliła tam swoich agitatorów. Skargi do rządu znowu nic nie pomogły. Wtedy ludność sama się rozprawiła. Hasło do zaburzeń dali wypędzeni ubodzy: zbito radnych, zburzono magistrat, prezydenta chciano powiesić na latarni, lecz zdołał uciec. Ten wypadek zachęcił ludność kilku innych miasteczek, gdzie także bardzo ostro rozprawiono się z rajcami. Wówczas dopiero ujrzano, że się źle dzieje i trafnie znaleziono główną wadę ustroju. Jest nią nadzwyczajna, większa niż w Rosyi centralizacya administracyjna, doprowadzona do tego, że wszystko zgoła rząd robi, a samodzielności obywatelskiej nic nie zostawia.

Tak było i dawniej, za królestwa i za cesarstwa, i tego jedynie nie naruszyła republika. Monarchiczne rządy trzymały się centralizacyi, aby łatwiej czuwać nad narodem, któremu nie ufały; republika zatrzymała centralizacyę, aby snadniej tępić monarchiczną agitacyę. Więc przyczyna panowania tego systemu pozostała ta sama. Ale monarcha, jako naczelnik państwa stały, przynajmniej dożywotni, dbał we własnym interesie o to, aby administracya zbytecznie nie naciągała struny, żeby o ile można stosowała się do potrzeb narodu. Nie czyniła ona tego dobrze, owszem często źle, zawsze jednak lepiej od republikańskiej administracyi, która musi ciągle się zastosowywać do życzeń tego stronnictwa, które chwilowo dorwało się władzy i panuje, jak dawniej monarcha. Nadto te stronnictwa zupełnie straciły z oczu interes państwa, ugrzęzły w intrygach i szachrajstwie, które albo popierają za pomocą administracyi, albo potem zacierają jego ślady. Tak centralizacya władzy posłużyła zmiennym panom Francyi do jej wyzyskiwania. Stali się oni jej pająkami.

Jeżeli takim trybem zużył się rząd Ludwika Filipa, a potem Napoleona III, nie mogło być lepiej z republiką. Wprawdzie trwa ona już dłużej od tamtych rządów, ale to nie dlatego, że lepsza od nich, lecz że trwanie jej leży w interesie nie jednej panującej osoby, lecz kilku tysięcy osób, które wziąwszy się za ręce, ogryzają Francyę. Musiało jednak zrobić się z nią już bardzo źle, kiedy ci gryzonie sami uznali, że republika gnije i trzeba ją corychlej dezynfekcyonować, bo inaczej prędko się zbliży ów piękny poranek, w którym plakaty oznajmią „dobremu paryskiemu ludowi“, że deputowani siedzą w Bastylii, a zamiast republiki jest już cezaryzm.

Więc z woli parlamentu rząd zwołał ankietę, która ma opracować podstawy gruntownej reorganizacyi wewnętrznego ustroju. Nazywa się ta ankieta „wielką“ i dzieli się na dwa podkomitety, oraz jedną komisyę. Ta „wielka“ na paru posiedzeniach uchwaliła decentralizacyę władzy administracyjnej, to znaczy oddanie wszystkich spraw lokalnych w ręce miejscowego obywatelstwa, i postanowiła wrócić do gambettowskiego systemu wyborów z listy podług okręgów (*arrondissements*), czyli po naszemu: obwodów. Dotąd wszystkie miasteczka i gminy wybierały swoich deputowanych osobno, w skutek czego w parlamencie pełno było i jest tak zwanych „zaściankowych wielkości“, ludzi bez politycznej myśli, bez rozumienia spraw publicznych, za to ze zrozumieniem zanadto wielkiem własnych interesów. Mają temu zapobiedz wybory podług listy. Ilu deputowanych wybiera obwód, tylu ich ma być na liście, a listy takie może układać i zalecać każde stronnictwo. Będzie więc zupełnie tak, jak we Lwowie przy wyborach do rady miejskiej; że zatem i ten system jest zły, to my z doświadczenia wiemy; poznano to i we Francyi, bo ów system gambettowski trwał tam bardzo krótko. Jednak postanowiono wrócić do niego, zapewne z tej racyi, że bogate republikańskie stronnictwo zdoła w ten sposób łatwiej przeforsowywać swoich kandydatów. Ale ponieważ to niekorzystne dla dość ubogich radykałów i socyalistów, a także dla zwolenników monarchii, podzielonych na różne sprzeczne grupy, przeto zapewne wszystkie te żywioły połączą się w parlamencie dla obalenia tej reformy.

Natomiast projekt decentralizacyi administracyjnej ma dotąd samych przyjaciół, a wszędzie na prowincyi powitano go z zapałem. Jeden tylko Paryż, będący głową i żołądkiem całej Francyi, boi się utraty tak wyłącznego znaczenia na korzyść stolic prowincyonalnych. Lecz jest to troska o daleką przyszłość, dla której dzisiejsze pokolenie nie jest bardzo czułe, idzie więc tylko o zabezpieczenie interesów teraźniejszego Paryża, aby się nie burzył przeciw decentralizacyi władzy, a to postanowiono osiągnąć urządzeniem nadzwyczaj kosztownej wystawy w roku 1900-nym. Samo państwo da na ten cel sto milionów, a oprócz tego dołoży wszelkich starań dyplomatycznych, aby żadnego kraju europejskiego nie brakło na tej wystawie. Z tego-to właśnie powodu, oprócz innych względów, republikańskie stronnictwo silnie przemawia za udziałem Francyi w uroczystości otwarcia niemieckiego kanału, aby tem zobowiązać sobie rząd berliński i oczywiście te, z którymi on żyje w najbliższych stosunkach. Tak sprawy wewnętrzne francuskie zaczynają przytłaczać tamtejszy szowinizm i odwetowe zamiary.

Z dwóch podkomitetów ankiety „wielkiej“ jeden zajmuje się określeniem spraw, które państwo ma oddać w ręce gmin, rad okręgowych, czyli po naszemu powiatowych, i jeszcze wyższego stopnia rad departamentalnych, które można porównać do sejmów krajowych w Austryi. Podkomitet drugi układa statuta wszystkich owych rad, co równoznaczne z zaprojektowaniem całkiem nowej konstytucyi. Jest to robota wielka i trudna, więc tylko wątpić można, ażali jej podołają dzisiejsi republikanie. W każdym razie jednak dobrze jest, że wynaleźli sobie poważną pracę. Może ona oderwie ich od wygrzebywania coraz to nowych skandalów. Dodajmy jednak, że pessymistów i złośliwych nie brak; pierwsi utrzymują, że republika nie jest już do niczego zdolna i że nie ma lekarstwa, któreby mogło jej pomódz, a drudzy zapewniają, że republikanie na seryo nie myślą o takiej reformie, lecz tylko chcą przed wyborami zaskarbić sobie względy ludności, a po wyborach rzucą do kosza wszystkie autonomiczne projekta, bo przecie z czegożby żyli, gdyby nie mogli ogryzać Francyi? Może oni mają słuszność!

W niemieckiem czasopiśmie *Nation*, w numerze wydanym na marzec, znajduje się petycya uczonych i literatów do parlamentu o odrzucenie projektu ustawy przeciw wywrotowcom. Petycyę podpisali tak znani uczeni, jak Mommsen, Pettenkofer, Virchow, Wagner, Bunsen, Delbrück, Heyden, Lieberich, literaci Spielhagen, Freytag, Bamberger, Dahn, malarze Menzel, Sitger, Meyerheim i mnóstwo innych. Utrzymują oni, że występują w imieniu nauki i swobody krytycznej analizy. Cóż jednak ma wspólnego rzetelna nauka z wybrykami, które zamierzono tępić?

Milczeli ci uczeni i literaci, gdy rząd przedstawił swój projekt skierowany wyłącznie przeciw socyalistycznej doktrynie, którą jej zwolennicy także uważają za naukę i która rzeczywiście ma swych uczonych przedstawicieli, jak Schäffle i Delitsch. Wystąpili zaś dopiero wtedy, gdy katolickie centrum, wziąwszy w ręce projekt rządowy, nadało mu charakter wielkiej kodeksowej reformy. Wyszło ono z założenia, że socyalizm jest chwastem na zatrutej niwie ogólnych stosunków społecznych i etycznych, a zatem niedość tępić sam chwast, lecz trzeba i niwę uzdrowić. Poczęło tedy wsuwać do rządowego projektu paragrafy wysnute z dogmatów chrześcijańskich i tak gruntownie zmieniło charakter projektowanej ustawy, która przestaje być wyjątkową, staje się ogólną. Już to podnosi jej prawną wartość, a skuteczność niezmiernie powiększa. Trzeba oddać słuszność junkrom i nawet niektórym liberałom, że się zupełnie zgodzili z tą akcyą centrum i tak w komisyi zapewnili stałą większość, przychylną takiej reformie kodeksu. Ale trafnie przepowiedział Bebel w tej komisyi, że już nie sami socyaliści, lecz cały świat uczony i wolnomyślny powstanie przeciw podobnym innowacyom, albowiem — jak rzekł — przeważna część inteligencyi niemieckiej jest ateistyczną, albo co najmniej panteistyczną i na dowód przytoczył wyjątki z dzieł różnych teologów, filozofów, historyków i belletrystów. Dowód ten, ułożony zręcznie, był tak drastyczny, że baron Hammerstein zawołał: „Z tego widzę, jak nieodbicie potrzebna jest kodeksowa reforma, nad którą pracujemy!“ — i rzeczywiście wzmogła się gorliwość większości. Wzięto pod dyskusyę § 130-ty, zabraniający wszelkich ataków na chrześcijaństwo. Liberałowie zaprojektowali wstawić zamiast słowa „chrześcijaństwo“ wyraz „religia“, aby broniona była wszelka wiara, lecz znany polakożerca między liberałami Enneccerus począł bronić swobody krytyki teologicznej, oświadczył, że postęp musi być w i religii, a zatem zupełnie dostateczne będzie chronić od ataków samego tylko Boga, pojmowanego jakkolwiek, a wszelkie sposoby czczenia bóstwa, jako systematy wymyślone przez ludzi, mogą być krytykowane i obalane. Rozwinęła się tedy gwałtowna sprzeczka i członkowie komisyi tak się poróżnili, że trzeba było przerwać obrady do 6-go marca.

A tu właśnie pojawił się ten protest uczonych, literatów i malarzy. Z tego widać jakiej sprawy oni bronią.

Rząd hiszpański już nie tai powstania na Kubie. W Madrycie sposobem demonstracyjnym kortezy i ludność dały wyraz oburzeniu na powstańców. Oświadczenie rządu, że całą potęgą państwową będzie bronił jedności królestwa, przyjęto z zapałem. Naprędce wysłano 2.000 żołnierzy i parę wojennych statków. A tymczasem z Kuby nadeszła wiadomość, że powstańcy na głowę rozbili korpus jenerała Lachambre'a. Hiszpańska załoga na wyspie wynosi na papierze 19.000 ludzi, w rzeczywistości jednak nie ma ich nawet siedmiu tysięcy, a wszystkich powstańczych oddziałów jest kilkanaście i społem znajduje się w nich podobno 12.000 żołnierzy. Broń mają oni ze Stanów Zjednoczonych, dostarczoną przez Meksyk.

Korespondencye.

Wiedeń 28 lutego.

Minister Plener w odpowiedzi na interpelacyę Steinwendera, dlaczego rząd ostatnią pożyczkę złota zaciąga po 4 prct. i dlaczego powierzył emisyę renty grupie Rotszylda, takie same przytaczał powody, jakie z góry wasz korespondent w liście przed kilku dniami na pierwszą o interpelacyi wiadomość podawał jako jedynie słuszne i możliwe. Przedewszystkiem nie można było do parlamentu jeszcze raz odnosić się, aby otrzymać zezwolenie na wydanie renty 3½ prctowej. Niepodobna było dla bardzo wątpliwego zysku przewlekać terminu wydania renty i opóźniać chwili najstosowniejszej do zakupienia złota. Emisya renty 3½ prct. byłaby musiała nastąpić po kursie o wiele niższym niż obecny 4 prctowej i sprowadziłaby za sobą wzmożenie się już i tak chorobliwej spekulacyi giełdowej, a grupie większe jeszcze przysporzyłaby zyski, na państwo natomiast nałożyłaby większe ciężary. Stworzenie nowego 3½ prctowego typu renty w złotych reńskich, nie mających obiegu w systemie walutowym państwa, już z powodów czysto technicznych przedstawiało poważne trudności, a i z tej przyczyny nie było polecenia godne, że dzisiejsza niska stopa procentowa nie jest utrwalona jeszcze, a w razie podwyższenia jej, zwracanoby Austryi rentę nisko oprocentowaną.

Grupie musiano oddać emisyę, bo państwo złoto zakupując zwraca się do kapitału zagranicznego, z którym żadnych przecież stosunków nie utrzymuje. Kurs *al pari* nie może być nazwany za niskim. Przy pierwszej emisyi grupa o wiele więcej zarobiła. Premia ¾ prct. udzielona grupie teraz, jak dawniej, tem jest uzasadniona, że grupa bierze na siebie odpowiedzialność za wszelkie niebezpieczeństwa transportu, braki w wadze monet, pokrywa koszta przesyłki i inne wydatki i straty.

Kwestye ekonomiczne są po większej części tak zagmatwane, że trudno rozstrzygnąć je z jednego tylko punktu widzenia... stronnictwa politycznego. Narodowcy niemieccy zawsze się mylić będą, ilekroć przyjdzie im rozprawiać się z rządem dlatego, że kapitalistycznej grupy jakiejś użył do przeprowadzenia większej akcyi finansowej. Tak samo prasa liberalna zawsze mylić się musi, ilekroć chodzi o wydanie sądu w kwestyach dotyczących rolnictwa.

Dla dzienników tutejszych tego kierunku jest n. p. rzeczą udowodnioną, że cena zboża jest naturalnym wynikiem hyperprodukcyi światowej i że nie można o wyższych cenach marzyć, bo właśnie ceny obecne są zupełnie odpowiedne i „posiadacze ziemi przywyknąć do nich muszą, jak do faktu nieuchronnego i niezmiennego“ (tak czytam dosłownie). Jak do tych cen przywyknąć mają, nie mówi się nam. Ale byłby w rzeczy samej na to sposób: oto zniżyć należałoby podatki, skonwertować wszystkie długi na roli ciążące, wyznaczyć wielkie fundusze ze skarbu państwa na regulacye rzek, melioracye gruntów, budowanie magazynów i elewatorów, potworzyć banki rolnicze, udzielające zaliczek na zboże aż do 75—80 prct. wartości, szybko, bez formalności, protekcyi i zachodów, niszczących nieraz wartość całego kredytu, wyjątkowe przyznać taryfy transportom na kolejach, jednem słowem należałoby ułatwić zbyt produktu i obniżyć ciężary rolników. Może po takich środkach heroicznych rolnik mógłby za ceny dzisiejsze bez ruiny sprzedawać swój towar. Wszak odpowiednią nie może chyba być cena, która sprowadza bankructwo najsilniejszej liczebnie warstwy ludności w państwie!

Kapitaliści sądzą, że niska cena zboża będzie deską ratunkową dla wielu fabryk, które w rzeczy samej produkują zawiele, bo robotnik nie będzie się dobijał większej płacy mogąc chleb tanio kupić. Ta zaślepiona polityka ekonomiczna nie chce zrozumieć, że wieśniak nawet kosy nie ma za co kupić, jeśli cena zboża tak spada, iż on na podatek i inne najniezbędniejsze potrzeby wyprzedawać się musi z inwentarza żywego. Któż ma kupować płótno, sukno, skórę, fajans, szkło i t. d., kiedy konsumenci bankrutują?

A ta nowo wynaleziona „hyperprodukcya zboża“ — co to za monstrualny pomysł! Przypuśćmy, że istnieje ona w rzeczy samej, że Ameryka dzięki maszynom więcej wyprodukowała w dwóch ostatnich latach pszenicy, niż dawniej (czemu statystyczne wykazy stanowczo przeczą sprowadzając przez to tłómaczenie zniżki cen nadmiarem produkcyi ad absurdum) przypuśćmy, że Europa ma na swych targach zboża za wiele i że dlatego ceny spadły. Cóż więc począć? Czy państwo ma tylko dwie drogi przed sobą, albo jak Rosya wszystkie wytężyć siły, aby zagrożonego rolnika funduszami skarbu ratować, albo jak Austro-Węgry z rezygnacyą czekać, aż się fala „hyperprodukcyi“ przewali, pogrążywszy w nurtach swych tysiące i tysiące zamożnych dawniej mieszkańców? Czy nie możnaby pomyśleć o redukcyi uprawy ziemi? Jeśli w rzeczy samej zboża jest za wiele, to najlepiej nie uprawiać go tyle. Środki, które podają agronomowie dla jednej lub drugiej okolicy, nie mogą być przyjęte przez państwo całe. Gdyby wydano hasło, że uprawiać należy rośliny pastewne, to mielibyśmy na rok drugi zniżkę cen tych znowu gatunków. Jeśli jest hyperprodukcya, to rada jedyna ziemię zostawiać odłogiem. Można nad Dniestrem wybudować kilka banków, któreby handlowały papierami i przyjmowały zlecenia na grę giełdową, można i kilka giełd wystawić nad Zbruczem, Sanem i Wisłą — to może i trochę ziemi ubędzie! Wszak niedawno jeden z wiedeńskich publicystów śmiało twierdził, że Austro-Węgry nie mają już co wywozić ze swego sprzętu pszenicy, między innemi i dlatego, że ziemi pszennej ubywa — przez założenie nowych fabryk!! Zdaje się jednak, że zadługo musielibyśmy czekać na to rozbudowanie się Austro-Węgier. Jedynym środkiem byłoby więc w Galicyi n. p. z roli ornej 3,800.000 hektarów, jakie 800,000 ha. zostawić na los ślepego przypadku. Podnieśmy ten środek niezawodny do reguły i zapytajmy, które państwo w świecie zgodzi się na takie b a r b a r z y ń s t w o! Nie wiedzieliśmy dotychczas o tem nic, że w Rosyi lub u nas jest za mało rąk roboczych przy roli, nie wiedzieliśmy o tem nic, że produkujemy „fabrycznie“, maszynami zboże. Mieliśmy przekonanie, że owszem za wie-

---

2)

ILUZYA

OPOWIADANIE

przez *Zofię Kowerską*.

(Ciąg dalszy).

— Niech tylko ciocia pamięta tej Amelki nie podawać mi z różnemi przyprawami dla zamaskowania smaku i zapachu swatowstwa. Nie chcę ani ostrego, ani miodowego sosu.

— Podam ci ją *au naturel!* Posadzę ją obok ciebie przy obiedzie...

— Poprostu nie przyjadę na św. Ludwika i koniec.

Ciotka na dobre się przestraszyła. Krążyła potem koło mnie, jak gdybym był krzakiem tarniny, a ona pajęczyną, chcącą na każdym kolcu zaczepić się leciuchno, nie urażając, nie ugniatając, a jednak obmotując. Wreszcie wymyśliła jakiś interes, jakiś kontrakt, który koniecznie wymagał mej obecności w Górzyskach w sam św. Ludwik. Ulitowałem się nad kobieciną i powiedziałem w końcu, że skoro był interes... skoro ten kontrakt...

Ściskała mię uradowana i pewna, że jej dyplomacya zażegnała wszystko.

W gruncie byłem ciekawy tej Amelki. Ha! kto wie, może te posłuszne włosy znamionowały naturę powolną, nie wybuchową, cichą, jak księżyc, a spokojną, jak woda studni. Może te oczy koloru niezapominajek szepną mi co o niebie matrymonialnem? Zobaczymy!

Abym w niebo uwierzył, to może przestanę krytykować. Nie chcę już krytykować! Zwykle przyjeżdżałem do Górzysk w wilię imienin ciotki, tym razem postanowiłem przybyć w sam dzień. Niech Amelkę zobaczę ubraną jasno, wśród grona innych panien. Poznam ją po owych spokojnych włosach, w których ani jeden kędziorek nie odstaje. Wierzyłem bardzo pierwszemu wrażeniu. Jakie też ono będzie tym razem?

Przyjechałem przed samym obiadem. Ciotkę zastałem w istnej gorączce. Widocznie poczynała już wątpić o mojem przybyciu. Zaczęła niezwłocznie prezentować mię osobom, których nie znałem, a gdy w końcu lokaj otworzył na rozcierz drzwi do jadalnego pokoju, oznajmiając, że waza była na stole, ciotka manewrowała tak, że się znalazłem idącym przez salon z rączką Amelki na mojem ramieniu.

— Ona jest pewno w zmowie z ciotką — przemknęło mi odrazu przez głowę. — Toć one odrazu urządzają na mnie obławę! Ta mała rączka jakoś bardzo blisko się znalazła mego ramienia, jakoś bardzo na zawołanie, gdy ciotka chciała mi znaleźć damę do prowadzenia.

Byłem sztywny i miałem się na baczności.

Amelka zdjęła rękawiczki i poczęła jeść zupę spokojnie. W istocie, wszystko w niej było spokojne, jak jej włosy.

— Namyśla się, od czego zacząć — mówiłem sobie w duchu — bo że zacznie rozmowę i będzie się starała mnie nią zająć, na to przysięgnę.

Tak się też stało.

Amelka, zjadłszy zupę, zwróciła ku mnie swe niebieskie oczy i z wielkim spokojem rzekła:

— Bardzo byłam zadowolniona, gdy pan przyjechał, ze względu na tę dobrą panią Ludwikę. Wzbudzała poprostu litość swoim niepokojem. Spodziewała się pana wczoraj jeszcze.

— Pani tu już od wczoraj bawi?

— Tak, od wczoraj.

— I długo pani zostać zamierza?

— Mama kazała mi zdać się na łaskę i niełaskę pani Ludwiki. Pani Ludwika zaś zatrzymuje mię na parę tygodni.

— O, na parę tygodni! — myślałem. — To już zamysły nie na żarty!

Głośno rzekłem:

— To Górzyska będą wesołe i gwarne! Żałuję, że mię ważne sprawy zmuszają do wyjechania zaraz jutro.

Powiedziałem to niezmiernie zimno i sztywnie. Amelka podniosła ku mnie powoli swoje oczy koloru niezapominajek i rzekła obojętnie:

— Gdybym taniec lubiła, żałowałabym, że Górzyskom ubywa tancerz, — podobno bardzo dobry...

— Co? Pani tańczyć nie lubi? Jest na świecie panna, która tańczyć nie lubi?

Nagle zaśmiałem się głośno i ironicznie. Amelka obejrzała się zdziwiona. Ach! bo ona nie domyślała się, że ja wiedziałem przyczynę jej wstrętu do tańca!

Oto kilka miesięcy przedtem powiedziałem był ciotce Ludwice, pozując raczej na efekt, niż czując tak, jakem mówił: „Jestem już stary, kości mię bolą od tańca. Żebym to ja mógł dostać żonę, którąby na bale jeździć nie lubiła!“.

Śmiejąc się jeszcze, rzekłem:

— To pani może balów i wieczorów tańcujących nie lubi?

— Rzeczywiście, nie lubię.

— I gdyby pani poszła za mąż za domatora, za leniwego duchem człowieka, który woli siedzenie we własnym fotelu z książką w ręku, niż bal, nigdyby pani o bal się nie upominała?

— Myślę, że nigdy — odparła spokojnie Amelka.

— Więc pani nie jest siebie pewna, tylko pani myśli, że takby było?

— Czy może kto być pewien swoich upodobań w przyszłości? Ja, zresztą, w gruncie jestem pewna, tylko zapewniać naprzód nie lubię.

Aha! zapewniać naprzód nie lubi, bo nużby ją kiedy wzięto za słowo! Więc już tak? Więc już taka pewność złowienia mię, że już sobie naprzód szuka furtki do ucieczki, rzuciwszy mi na razie przynętę w tym rzekomym wstręcie do tańca.

— Ten mąż pani będzie, jak widzę, szczęśliwym człowiekiem! — rzekłem ironicznie.

— Będzie szczęśliwy, jeżeli to od moich dobrych chęci będzie zależało — rzekła Amelka.

A, to już było prawdziwie bezczelne! Wszak ona poprostu szczęście mi obiecywała! Poczynała sobie zupełnie naiwnie. Nawet nie złociła pigułki, nawet nie owijała karmelka w papierek. O, ciociu, ciociu, zawsze byłaś beztaktowna i beztaktowną zostaniesz do końca! Narzucać mi dziewczynę tak wyraźnie, tak grubo! Oddawać ją mojej krytyce, jak owcę wilkowi! Nie, — to przechodziło granicę naiwności.

— Więc — rzekłem podniecony i ironiczny — pozostaje mi tylko pragnąć, by pani poszła za mąż. Kula ziemska liczyłaby w takim razie jednego więcej szczęśliwego małżonka.

Spojrzała zdziwiona, zapewne nie tyle słowami, ile tonem mojego odezwania się. Zapanowało między nami milczenie. Obnoszono półmisek, sąsiad mój z lewej strony mię zagadnął. Zbyłem go lakoniczną odpowiedzią i udawałem skupienie przy spożywaniu pasztetu, żeby przeżuwać swobodnie krytykę naiwności Amelki i ciotki Ludwiki, gdy ucho moje uderzył śmiech, podobny do dźwięku srebrnego dzwonka.

Posłałem wzrok za wskazówkami słuchu i dopiero teraz spostrzegłem siedzącą z drugiej strony stołu, ale nie naprzeciwko mnie dziewczynę bardzo młodą widocznie, coś w rodzaju podlotka, rozwiniętą już wszakże i ładną.

Oczy duże, czarne, prześlicznie wykrojone, szyjka biała, okrągła... Uosobienie czaru! Obok niej Bolek, daleki mój kuzyn, student drugiego kursu, będący w pełni wakacyjnego rozbawienia. Śmiały się te dzieci aż zazdrość brała! Mimowoli słuchałem ich rozmowy. Przychodziła do mnie urywkami, bezładna... Bolek wmawiał tej cudnej dziewczynce, że każda panna musi zjadać albo węgiel, albo kredę, albo lak, albo ołówki.

— Widziałem sam, jak pani rujnowała piec, żeby spożyć trochę przepalonej gliny!

— Mogłabym pana pozwać o oszczerstwo do sądu gminnego! — wołała prześliczna malinowa buzia, śmiejąc się przytem dziecinnym, srebrnym śmiechem.

— A może nie widziałem, jak pani pije ocet szklankami?

— Ja panu na to odpowiem coś, co pana zupełnie pobije, zupełnie zwycięży. Ja jestem z tych wyjątkowych panien, co lubią oliwę!

— Co, doprawdy? — mówił Bolek. — Ę... to ja pani nie oceniałem dostatecznie! To jest zupełnie osobna rasa, uszlachetniona rasa w tych pannach, które wolą oliwę, niż ocet! Oliwa idzie pannom prosto do głowy i staje się olejem. Nikt nie może potem powiedzieć o pannie, że jej brak oleju w głowie.

Cudny podlotek śmiał się znowu, jak dziecię.

— Pan ze mnie wciąż żartuje! Ale ja się nie obrażę, a jeżeli się obrażę, to mam też gotowe lekarstwo w oliwie. Obraza, to zraniona miłość własna...

— A oliwa goi rany! — przerwał Bolek. — Brawo, panno Zofio!

— Aa... naturalnie, że Zofia! — pomyślałem — Zosia! To stworzenie musi się nazywać Zosia. Oj, ciociu, ciociu! Tej Zosi, tej wiośnie, tej róży, to mię nie prezentowałaś, a wpakowałaś mi pod ramię rękę panny płaskiej, jak jej spokojne, przylizane włosy, płaskiej, jak jej noga, bo że ma nogę płaską, na to przysięgnę i na krzyż palce położę! Ach! jakże te dzieci szczęśliwe! Co ten Bolek plecie znowu?

— Kiedy ja wiem, że tak być musi! — mówił Bolek do Zosi. — Panna, która lubi oliwę, musi mieć tem samem przyjaciółkę od serca, z którą spędza godziny całe na szeptach i nosi jej listy na sercu. Założę się, że pani ma w tej chwili taki kataplazm... Na naszym kursie były przeszłego roku dodatkowe wykłady o pannach. Ja z tego przedmiotu dostałem na egzaminie piątkę z plusem. Powiem pani nawet, że piątka z plusem, to mało na to, co ja umiem. Powinienem był dostać szóstkę. Cdn.

le ludzi żyje i pracuje przy roli, że przeto o hyperprodukcyi mowy być nie może, bo ziemia nie wydaje nigdy tak obfitych plonów, aby ludność rękami na nie pracująca w kłopocie była, co z niemi począć.

Nie hyperprodukcya zboża, ale traktaty handlowe i system walutowy Europy sprowadziły zniżkę cen. Gdyby można zboża produkować do woli, jak żelaza, sukna, lub płótna (gdzie zawsze jest więcej surowca, niż przeróbek), to łatwo właśnie byłoby wyjść z ciężkiej sytuacyi.

Kiedy na giełdzie dowiedziano się, że węgierski instytut kredytowy obniża dywidendę z powodu „smutnego położenia rolnictwa", od razu objaśnienie to wzięto za punkt wyjścia zniżkowej spekulacyi, która przybrała wskutek słabości optymistów wierzących w odrębność rolnictwa, fabryk i banków, charakter paniki chwilowej. Nauka była za słabą tym razem. W Anglii też zrozumieć nie chcą, że złota jest za mało na świecie i kanclerz Harcourt wprost wrogo odezwał się przeciw ewentualnym zmianom systemu walutowego na konferencyi międzynarodowej. Zdaje się każdemu, że bronić może swej pozycyi bez szkody, choćby drugi tonął obok niego. Pomści się to kiedyś i na Anglii, mającej z pewnością złota dość i nie obawiającej się w tej chwili o swój handel światowy.

Jeśli nie stworzy się warunków zbytu łatwych na wschodzie i zachodzie dalekim, w Azyi i Ameryce, to rolnictwo upadać będzie, bo ceny zboża podnieść się nie będą mogły. Napoleon przewidywał ekskluzywność polityki ekonomicznej Anglii i jej niebezpieczeństwo dla Europy. Jego środek jednak zamknięcia Europy dla dowozu angielskiego był gwałtowny i niedostateczny. Prędzej czy później mści się w świecie każdy egoizm, a już przedewszystkiem egoizm w handlu światowym, skazanym na wyrównywanie najsprzeczniejszych nieraz interesów. Kraj nasz, odcięty od wielkich dróg kontynentu, jeden niestety ma na razie tylko środek ratowania się: pracę zdwojoną w produkcyi i w uwolnieniu się od handlu pośredniczącego po stworzeniu wielkich własnych targów!

Rzym 24 lutego.

Już i cieplejsze słońce wyjrzało i miało się tutaj ku wiośnie i ja już myślałem o fujarce, aby wygrać na niej kilka ckliwych wiosennych pieśni, kiedy nagle przed trzema dniami, zrobiło się mroźnie. Wiatr, który w południowej Austryi zowią borą, znany odwiedzającym Abbazyę, tutaj nosi miano tramontany, ale choć nazwy różne, zawsze to jednakowo przykry lodowaty wiatr. W dniu 18 lutego (rzecz w Rzymie niesłychana!) temperatura spadła do trzech stopni niżej zera. Z wielkich fontan placu Watykanu, z fontanny del Tritone na Piazza Barberini, zwiesz‿ły się długie sople, ścięły się wody, rąbano i wywożono odłamy lodu, zamarznięte wodociągi odmówiły wody, na palmach na Monte Pincio poobmarzały wachlarze liści. Od r. 1845 Rzym podobnego zimna i to o tym czasie nie pamięta... Etna śniegiem pokryta, w Syrakuzie zawieja śnieżna, obmarzły kwitnące już migdały, pomarańcze i cytryny — nie mówiąc już o północnych Włoszech, gdzie przez kilka tygodni panowało dziesięć stopni mrozu z niesłychanemi śniegami.

Takie to mieliśmy powietrze przy końcu karnawału. Dziś natomiast zaczyna być znowu ciepło, a więc i maski, krążące setkami po ulicach Rzymu, śmielej sobie poczynają i nawet nabierają humoru. Bo aż przykro było patrzeć na tych Pulcinellów, biegających po Corso, w biały dzień, w płóciennych, powiewnych ubraniach, na kłapiące zębami czułe Colombiny, na pajaców, markizów w pończochach, na nogi wystawione na niegościnne mroźne powiewy, idące od Apeninów i Alp. Ale rzymski karnawał żyje i rusza się! Jest ruch jest i wesołość i obfitość masek. Gdzie tylko słońce lepiej dogrzewa, tam zatrzymuje się powozik, obwożący jakiegoś „cudownego doktora", w białej peruce i harcopfie, sprzedającego już nie leki, nie eliksiry, ale pieśni ludowe, które przy towarzyszeniu mandoliny, po strasznie długich mowach i deklamacyach, przy forsownej nad wyraz gestykulacyi, ofiarowuje tłumowi. To jest jedna z najwięcej rzucających się w oczy cech tutejszego karnawału, za nią przyjdą trzy ostatnie dni z zapalaniem świeczek, rzucaniem confetti i z Corsem kwiatowem.

W trzech, czy czterech teatrach odbywają się prawie codzień vegliony, a więc: cyklistów, Excelsior, a nadewszystko na dzisiaj przygotowuje się wielki *veglione* prasy, w Teatro Costanzi, i to nie jakiś zwyczajny, zwykły veglione, ale *veglione dei veglioni!* — a więc maskarada z nagrodami dla najlepszych masek, dla pojedynczych samotnych maseczek. Będzie więc i Ras Mangaszia z abisyńskiem otoczeniem — wszyscy z bardzo długiemi nosami po klęskach pod Senafe i Coatit, będzie grupa studentów uniwersytetu, z niemniej długiemi nosami, skoro uniwersytety w Rzymie i Neapolu zamknięte po zaburzeniach, będą tłumy masek konkurujących o nagrody tysiąca, pięćset, dwustu lirów i t. d.

Jak tylko cieplej się zrobi, corso powozów w godzinach poobiednich rozwinie się wspaniale. Wtedy, po nabitem od pojazdów Corso, przecisnąć się nie można. Powozy jadą do willi Borghese, zatrzymują się koniecznie na Pincio, gdzie gra muzyka i jadą w miasto. Królowa Małgorzata daje zawsze dobry przykład i codzień jest na spacerze. Poznaje się ją zdaleka po ponsowej liberyi służby na koźle i za powozem, po wielkich koniach karosyerach u powozu i po ukłonach, jakie jej oddają. Król jeździ zawsze osobno, zawsze amerykanem, powozi sam, znaczny także zdaleka po białych jak mleko, wcześnie posiwiałych, sumiastych wąsach i gęstych, niemniej białych włosach, a odbijających od rzeźkiej jeszcze twarzy. Królowej towarzyszy dama dworu, królowi Humbertowi adjutant wojskowy.

Już i na wystawach tutejszych sklepów pokazały się fotografie ładnej księżniczki Maud, najmłodszej córki książąt Walli, a przyszłej narzeczonej księcia Neapolu, Wiktora Emanuela. Wiem, że przed dwoma laty starano się dla następcy tronu włoskiego o rękę arcyksiężniczki austryackiej, Doroty, córki arcyksięcia Józefa, rezydującego zwykle w Fiume (Rjece), ale Habsburgowie położyli wtedy za warunek poprzednie zawarcie konkordatu z Watykanem.

O ten szkopuł rozbiło się projektowane małżeństwo, arcyksiężna wyszła za kuzyna swego, księcia Thurn i Taxis, a książę Neapolu został kawalerem. Pomimo, że księżniczka Maud jest protestantką, Papież Leon XIII nie odmówi dyspensy, byleby daną była gwarancya, aby dzieci wychowane były w wierze katolickiej. W tej myśli ks. Neapolu przeniesiony został w jesieni do Florencyi w stopniu generał-majora i tam w Palazzo Pitti spotka się niezadługo z narzeczoną swoją i z jej rodzicami, a tymczasem bywa na wieczorach, jakie dlań wyprawiają tamtejsze koła towarzyskie.

Przyszła następczyni tronu zastanie tutaj całą arystokracyę rzymską, mocno już podszytą Angielkami. Już poprzednie pokolenie wspomagało się obficie i żonami z Anglii i funtami szterlingami. I tak: książę Salviatti (rodzina florencka) ożenił się z Fitz-James, książę Santacroce (rzymski stary ród, wywodzący się od Waleryusza Publicoli!) wziął za żonę Irlandkę, Scully, z Dublina; książę Sforza Cesarini pannę Sinley; ks. Filip Doria-Pamphily ożenił się z p. Shrewsbury-Talbot, której siostra wyszła znowu za zrujnowanego dziś ks. Marka Antoniusza Borghese.

W ostatnich czasach panna Bryant, siostrzenica słynnego miliardera Mackay'a, poszła za ks. Colonna-Galatro w Neapolu (i już się z nim rozwiodła); dzisiejsza młoda księżna Doria-Pamphily-Laudi jest z domu ks. Pelham-Newcastle, a ks. Honorat Gaëtani (rodzony z Rzewuskiej), ma za żonę córkę londyńskiego earla Bootte Wibraham-Lathom. Wiele także amerykanek wychodzi tutaj za mąż i zostawia swoje dolary. Że tego rodzaju małżeństwa mają dobrą stronę, nikt nie zaprzeczy, wpłyną może na podniesienie umysłowego poziomu w dzisiejszem pokoleniu, choć złośliwi twierdzą, że na tem tylko zyska — sport!

Londyn 27 lutego.

(T) Powołany do dawania czytelnikom *Przeglądu* sprawozdań o życiu Anglii, do kreślenia wielostronnego obrazu politycznego, społecznego i umysłowego jej ruchu, przyznaję chętnie z góry, że chwila nadaje się jak rzadko do takiej sprawozdawczej pracy. Jakiekolwiek będą osobiste piszącego niedostatki, być może, nie dostrzegą ich czytelnicy, tak absorbującą będzie listów tych osnowa. Ażaliż może być cokolwiek ciekawszego, ażaliż może cokolwiek zasługiwać na baczniejsze studya, jak przeistaczanie się, odradzanie się w oczach naszych potężnego politycznego i społecznego organizmu, jak bezustanne doń wprowadzanie nowych, odżywczych pierwiastków, a rugowanie dawnych, uświęconych tradycyą bez najmniejszych rewolucyjnych wstrząśnień, bez cienia konwulsyjnych podrygów.

Takie to właśnie widowisko daje obecnie Anglia uważnemu spostrzegaczowi. Wali się i zapada w ruinę jej stary gmach, datujący się z feudalnej epoki, znikają oligarchiczne instytucye, przywileje, monopole pewnych warstw towarzyskich albo korporacyi. Nowy powiew demokracyi przenika z dniem każdym cały ustrój narodowy. Ale jednocześnie — i to jest chlubą i zaszczytem Anglii — odwieczne posady społeczne: religia, rodzina, własność, nie podkopane i niezagrożone, ale przeciwnie wzmocnione i dopełnione wychodzą z tego rewolucyjnego procesu. Anglia jutrzejsza nie zatraci żadnej ze swych dawniejszych swobód i rozszerzy je, rozleje na wsze społeczne warstwy, ale jednocześnie spoczywać będzie na głębokiej wierze religijnej, na przywiązaniu do Korony i dynastyi, na wierności dla ustaw konstytucyjnych, które zabezpieczyły od tylu wieków swobodny rozwój narodu i wprowadziły go na cywilizacyjne wyżyny.

Wystarczy bacznie się przyglądać sposobowi, w jaki Anglicy przedsiębiorą i rozwiązują doniosłe reformy państwowe, ekonomiczne i społeczne, aby nauczyć się od nich najwyższej życiowej mądrości, tej mianowicie, jak pogodzić radykalny postęp z tradycyą i zachowawczym środowiskiem. Czem więcej grunt społeczny tu i owdzie podkopanym jest przez anarchiczne termity, czem większy niepokój ogarnia umysł nasz co do form, w jakich ukształtuje się przyszłość, czem bardziej hałaśliwy i niesforny jest chaos opinii i zasad, w pośród którego żyć nam przychodzi, tem naturalniej zwracamy się ku krajowi, którego normalny rozwój jest rękojmią, że jest możliwem, że jest wykonalnem wysnuć z łona przeszłości, z tradycyi wszystkie warunki, jakich do swego rozwoju potrzebują społeczeństwa dzisiejsze.

Czwarta sesya parlamentu obecnej kadencyi otwartą jest od początku miesiąca. Ministeryum postępowe pod przewodnictwem lorda Rosebery, znajduje się w wielce kłopotliwem położeniu. Rozporządza drobną liczebną większością a ma przeciwko sobie rozjątrzoną i silnie uorganizowaną opozycyę. Na dawniejszych sesyach przeprowadziło przez izbę gmin trzy wielkie reformy: samorząd dla Irlandyi, odpowiedzialność pracodawców za szkody poniesione przez robotników i rady wyborcze we wszystkich parafiach, a l i a s gminach. Izba lordów odmówiła wszelako swej sankcyi dwom pierwszym tak samo jak kilku billom drobniejszego znaczenia. Rząd ma tedy do tej pory, po trzechletniem istnieniu jeden tylko punkt swego szerokiego programatu, postawionego przed wyborami, urzeczywistniony: jest to samorząd parafialny. Chociaż sama w sobie reforma ta jest jedną z najdonioślejszych, jakie przeprowadzone zostały w ostatnim półwieku, nie wystarcza on gabinetowi i popierającej go ministeryalnej większości: czują oni, że aby utrzymać się nadal u steru władzy, powinni przeprowadzić inne punkta swego programatu. W mowie od tronu zapowiedziano też cały szereg ważnych projektów; dość będzie wymienić pomiędzy nimi cztery: — rozdział Kościoła od państwa w księstwie Walii, bill gruntowy dla Irlandyi, polepszający stanowisko czynszowników, ograniczenie sprzedaży gorących trunków, czyniąc tę sprzedaż zależną od zgody mieszkańców każdej oddzielnej gminy i zmiany prawa wyborczego.

Każdy z tych projektów napotka w łonie izby upartą, nieprzejednaną opozycyę skoalizowanych przeciwników ministeryalnych; jeżeli nawet niektóre z nich przeprowadzone zostaną przez izbę gmin, łatwo przewidzieć, że uwięzną w izbie lordów, którzy na kieł wzięli i do żadnych ustępstw gotowości nie okazują. Prawdopodobnie tedy sesya obecna zmarnowana zostanie nieprodukcyjnie. Ale pomimo takich niepomyślnych rokowań, oba stronnictwa nie tracą animuszu i walczą energicznie około urzeczywistnienia swej polityki. Ta nigdy nie słabnąca energia zapaśników w publicznej arenie: oto stała cecha tutejszego publicznego życia. Tak się też dzieje, że pomimo wszelkich zwłok, pomimo żmudnych i niekończących się nigdy formalności prawodawczych, każda kadencya parlamentarna przeprowadza pewną ilość reform i ulepszeń stopniowo przeistaczających organizm krajowy.

Charakter uporczywej zajadłości jaki cechować będzie bieżącą sesyę parlamentarną, zaznaczył się już wybitnie przy okazyi rozpraw nad adresem do tronu. Skorzystała z tej czystej formalności opozycya, aby przewlekać rozprawy, po trzykroć postawić kwestyę gabinetową, proponując wotum nieufności. Za każdym razem pobitą została, ale większość rządowa jest tak wątła, iż przy wypadkowej nieobecności kilkunastu a nawet kilku deputowanych, może rząd runąć pewnego pięknego poranku. Pozycya jest tedy naprężona i nie ma najmniejszego widoku, ażeby prace parlamentarne szły raźnym krokiem.

Chwilowo inna jednak kwestya stoi na porządku dziennym: wybory municypalne. Jak czytelnicy wiedzieć muszą, Londyn ma dwoistą organizacyę municypalną. Stara City, siedlisko korporacyi uprzywilejowanych ma swoje ciało „aldermanów" i „sheriffów", t. j. ławników i rajców, z pośród których wybiera corocznie swego Lorda-Mayora. Jurysdykcya tego dygnitarza i otaczającego go municypalnego ciała obejmuje jednak maleńką zaledwie część olbrzymiej pięciomilionowej stolicy.

Rozporządzają oni milionowemi funduszami przekazanymi w szeregu wieków sławetnym cechom, ale na bieg i rozwój całego miasta nie wywierają wpływu. Cała municypalna organizacya City jest ciekawym archaicznym zabytkiem, lecz nie ulega wątpliwości, że dni jej są policzone i że utonie niebawem w ogólnej ustawie municypalnej, której projekt przedłożony także został przez rząd parlamentowi.

Drugą instytucyą municypalną istniejącą dopiero od lat sześciu, i obejmującą radzców wybieranych przez wszystkie dzielnice miejskie jest Rada Londyńskiego Hrabstwa (London County Council). Rada ta posiada wielką popularność i jej członkowie, powołani na to stanowisko przez powszechne głosowanie wielce się zasłużyli miastu. W pierwszym peryodzie organizacyjnym tej rady, prezydował w niej obecny pierwszy minister, lord Rosebery, który rozwinął na polu municypalnem gorączkową reformatorską działalność. Rada londyńskiego Hrabstwa dokonała już wielu ulepszeń i postępów, które nie mogą być dość wysoce wysławiane. Wprawdzie okazuje ona dążność do municypalizacyi wielu gałęzi służby publicznej i zastępuje gdzie może prywatnych przedsiębiorców, oraz wielkie Towarzystwa kapitalistów przez swoją bezpośrednią działalność, ale ponieważ dotąd ogół zyskał na tem ześrodkowaniu działalności w ręku ruchliwego a bezinteresownego publicznego ciała, zatem nie słychać jeszcze skarg. Nie wiadomo jednak czy ów miodowy miesiąc municypalnego socyalizmu trwać będzie długo. Tymczasem Rada ma prawo się pochlubić, że podniosła zarobek zatrudnianych przez się robotników, że zburzyła mnóstwo ohydnych zaułków i potwornych domów, a na ich miejscu pootwierała place, wirydaże i mnóstwo wzorowych domów i mieszkań zdrowych dla ludności ubogiej, że uorganizowała komunikacyjne środki tanie i wygodne, że otworzyła nowe targi, że powiększyła ilość parków i przechadzek publicznych, a ulepszyła i radykalnie przetworzyła dawniejsze, że ulepszyła straż ogniową, spotęgowała dostawę wody i stara się obecnie wykupić od ośmiu towarzystw zaopatrujących Londyn w wodę ich koncesye i zmunicypalizować tę dostawę tak samo, jak dostawę gazu. Moglibyśmy jeszcze wymienić bardzo płodną działalność Rady londyńskiego Hrabstwa w dziale zdrowotności publicznej, oczyszczanie Tamizy, kanalizacyi, tak samo jak w dziale szkolnictwa albo środkach przedsiębranych ku poskromieniu pijaństwa, prostytucyi, niemoralności, oraz w całej dziedzinie dobroczynności publicznej.

Jak samo się przez się rozumie, to Ciało nowe, wyszłe z łona demokratycznej masy, wycisnęło wiele dawniej istniejących instytucyi, które wyzyskiwały publiczność bezkarnie, i dla tego nie znajdywało się *in odore sanctitatis* u przedstawicieli i orędowników monopolów i przywilejów. Zarzut najczęściej stawiany Radzie był, iż dla przeprowadzenia tych reform których znaczenia nikt już nie zaprzecza, szafowała rozrzutnie i lekkomyślnie groszem publicznym. Byłby to zarzut ciężki, gdyby był usprawiedliwiony. Na szczęście tak nie jest. Wszystkie wydatki, które teraźniejsza Rada odziedziczyła po ciałach zbiorowych, na których miejsce stanęła, wynosiły przedtem sumę $10^1/_2$ pensów płaconych od każdego funta szterlinga bezpośrednich podatków do kasy miejskiej, a dodając do nich kilka innych pobocznych, szacować można całość dawniejszego municypalnego podatku na $12^1/_2$ pensa od funta szt. Otóż obecnie Rada załatwia wszystkie wydatki i przeistacza Londyn z gruntu żądając od mieszkańców 14 pensów od funta szt. Zatem ten drobniutki naddatek $1^1/_2$ pensa był wystarczającym do wykonania zadania społecznego, niezaprzeczalnej użyteczności i doniosłości. Anglicy są oszczędni, ale zdają sobie sprawę, że nigdy wydatki lepiej usprawiedliwione nie były, jak te, których bilans ustępująca Rada przedłożyła wyborcom.

Legenda o rozrzutności Rady została tedy rozproszona, ale walka wyborcza idzie mimo tego energicznie i rączo. Dwie partye stoją przeciwko sobie: P o s t ę p o w c y, t. j. stronnicy Rady w dotychczasowym jej składzie, i U m i a r k o w a n i którzy jej działalność ostro krytykują, ale którzy żadnego jasnego dodatniego programatu jej nie przeciwstawili. Chociaż pomiędzy kandydatami tego umiarkowanego stronnictwa znajdują się ludzie wysokiego towarzyskiego stanowiska, członkowie najwyższej arystokracyi, nie otrzymają oni prawdopodobnie całkowitego zwycięztwa właśnie ze względu na brak jasno zakreślonego programatu przyszłej ich działalności. Niebezpiecznem by jednak było wdawać się w proroctwa co do rezultatu wyborów o których zawiadomi was telegram pierwej nim pismo obecne was dojdzie. Kampania wyborcza tak jest chwilowo rozgorzała, że nikt z nas w pośród niej stojących nie posiada dość chłodnej rozwagi, aby całość akcyi syntetycznie objąć i osądzić.

Przeszliśmy tutaj przez wyjątkowo surową zimę. Przez cały miesiąc trwały mrozy, niebywałe w wilgotnym klimacie londyńskim. Chociaż mróz zelżał od tygodnia, jest jeszcze wielka różnica ze zwykłą temperaturą. Oddziałało to dotkliwie na zdrowie publiczne i na ekonomiczną twórczość. Wybuchła istotnie epidemia influenzy, która zwaliła z nóg starych i młodych. Nie ma rodziny, która by nie była dotknięta a w sferach wierzchołkowych, dostojnych albo urzędowych pacyentów bez liku. Najsilniej naturalnie dotknięty został proletaryat londyński. Surowe mrozy okazały się tam istotną katastrofą a wycieńczone organizmy, padają łatwą ofiarą chorób, które obecnie grasują. Nędza jest niesłychana. Wszystkie gałęzie pracy istniejące tu zazwyczaj pomimo zimy musiały być zawieszone i oddziałało to na zarobek milionów. W samym Londynie jest dziś przeszło pół miliona ludzi bez najmniejszych środków utrzymania. Dobroczynność prywatna, kościelna i municypalna nie jest w stanie zadaniu podołać. Rząd wysadził komisyę z łona parlamentu, aby zbadała rozległość zła i zaproponowała środki praktyczne przyjścia w pomoc cierpiącym. Raport ma być złożony bezwłocznie, ale są sceptycy, którzy z góry utrzymują, że zadanie to niewykonalne. Chcemy wierzyć, że się mylą, a w każdym razie poczucie solidarności społecznej zbyt jest obecnie rozwinięte, ażebyśmy nie usiłowali wcielić go w czyn, gdy wynędzniałe oblicza współobywateli nawołują nas do obowiązku.

KRONIKA.

Lwów 4 marca

Radzca dworu Seferowicz wyjechał w sprawach urzędowych do Wiednia, a kierownictwo Dyrekcyi poczt i telegrafów objął starszy radzca pocztowy p. Gaberle.

Dar. Gminie Grabowiec skolski, w powiecie stryjskim, darował Cesarz 100 zł. na odbudowanie pożarem zniszczonej cerkwi.

Bankiet na cześć ministrów Polaków pp. Jaworskiego i Madeyskiego urządza Koło polskie jutro we wtorek w restauracyi Sachera w Wiedniu.

Pogłoska o częściowem przesileniu w gabinecie austryackim, podana przez *N. W. Journal* i powtórzona przez inne dzienniki, jest pozbawioną wszelkiej podstawy.

Konkursa. Rada szkolna okręgowa w Tarnowie rozpisała z terminem do końca marca br. konkurs na kilka posad nauczycielskich. — Wydział powiatowy w Jarosławiu ogłasza konkurs na posadę lekarza okręgowego z siedzibą w Moszczanach, z roczną płacą 500 zł. i dodatkiem na koszta podróży w kwocie 300 zł. Podania do 31 marca.

Konkurs dramatyczny, rozpisany przez Wydział krajowy, rozstrzygnięto w sobotę. Pierwszą nagrodę w kwocie 500 złr. otrzymała jednogłośnie trzyaktowa komedya Michała Wołowskiego p. t. „Towarzysz pancerny", osnuta na tle pamiętników Paska. Drugą nagrodę (300 zł.) przyznano większością głosów p. Wacławowi Sawiczewskiemu, słuchaczowi filozofii w Krakowie za dramat w 5 aktach pt.: „Na bezdrożach". Ponadto zalecono do grania następujące utwory: a) ze względu na zalety sceniczne „Nowi ludzie", dramat w 5 aktach p. Henryka Piątkowskiego, literata i artysty-malarza z Warszawy, oraz „Las", dramat p. Wandy Daleckiej; b) ze względu na zalety literackie: dramat Br. Grabowskiego z Częstochowy pt. „Jadwiga Tarłówna", oraz fantazyę dramatyczną w 11 obrazach p. t.: „Uśpiona" Jana Szarskiego (pseudonim) z Krakowa.

Mianowania. Starszy komisarz policyi krakowskiej, Maryan Jüttner, mianowany został radzcą policyi.

Zamieć śnieżna nawiedziła znów Wiedeń. Przez całą noc z soboty na niedzielę i przez cały dzień wczorajszy padał śnieg bez przerwy i pokrył miasto tak grubą powłoką, że musiano zawiesić ruch tramwajów.

Corso kwiatowe na Szumanówce, odbyło się wczoraj przy wspaniałej pogodzie. Za wyszczególniające się ślizganie otrzymali odznaczenia i pamiątkowe medale: panna Pol, pani Kowalska, pani Dockal i pan Witołd Łoziński. Wzmiankę zaszczytną panowie: Kubicki i Merunowicz.

Pierwsza izraelicka kuchnia ludowa dla ubogiej ludności bez różnicy wyznania, działająca z pożytkiem wielkim pod prezesurą znanego z filantropii p. Jakóba Stroh, wykazuje za rok zeszły 540 zł. 78 ct. deficytu. Ponieważ mogłoby to zachwiać byt instytucyi tak potrzebnej w tych czasach coraz większego ubóstwa i nędzy, kryjącej się po zaułkach miejskich, kuchnia wniosła prośbę o zapomogę do Wydziału krajowego i do izraelickiej rady wyznaniowej.

Gdyby tak u nas! Żydówkę Guttentag, żonę właściciela hotelu „Miejski Park" w Inowrocławiu zkazał onegdaj tamtejszy sąd ławniczy na 75 marek kary albo 15 dni więzienia. Oskarżoną została za to, iż gdy ktoś z gości zażądał piwa, pani Guttentag brała niewypróżnione jeszcze szklanki przez inne osoby i dolewała do pełnych. Prokurator wniósł o 150 m. kary lub 5 miesięcy więzienia. Sąd skazał ją tylko na wyżej podaną karę.

U nas niestety dzieje się to prawie w każdym żydowskim szynku, a mimo to władze przemysłowe nie pociągają winnych do odpowiedzialności.

Proces o morderstwo. (Ciąg dalszy rozprawy). Z Tarnopola nam piszą: Przesłuchanie świadków nie wyjawiło nowych momentów, wszyscy jednak zgodnie stwierdzili, że oskarżony jest człowiekiem zacnego charakteru i jako taki cieszył się powszechnem poważ niem. Znawcy sądowo-lekarscy Dr. Moszkowicz i Dr. Zgórski orzekli, że oskarżony jest obecnie zupełnie zdrów na umyśle, nie wykluczyli jednak możliwości, że Kornel Żurowski strzelając na swego bratanka, działał w afekcie, pod wpływem którego nie mógł przewidzieć skutków swego czynu.

Trybunał postawił przysięgłym 3 pytania a mianowicie główne w kierunku morderstwa, ewentualne w kierunku zabójstwa, wreszcie dodatkowe na okoliczność, czy oskarżony popełnił czyn w stanie niepoczytalnym.

Zastępca prokuratoryi państwa p. Hübl zażądał w swem przemówieniu zasądzenia obwinionego za zbrodnię morderstwa.

Obrońca Dr. Rosenfeld po treściwem i jędrnem przedstawieniu rzeczy prosił o uwolnienie oskarżonego przez potwierdzenie pytania dodatkowego.

Po resumé przewodniczącego przysięgli cofnęli się na naradę, w ciągu której zażądali postawienia im dalszego pytania w kierunku przestępstwa z §. 335 u. k. (występek przeciw bezpieczeństwu życia).

Trybunał za zgodą stron uczynił zadość temu żądaniu, poczem przysięgli po dłuższej naradzie zaprzeczając pytanie pierwsze i drugie, uznali Kornela Żurowskiego winnym przestępstwa z §. 335.

Trybunał wymierzył podsądnemu karę 14-d n i o w e g o aresztu, odsyłając pretensye poszkodowanej matki ś. p. Stanisława Żurowskiego na zwykłą drogę prawa cywilnego.

O zadaniu sztuki. Z Wiednia donoszą: Dyrektor Burgteatru p. Burkhard, wygłosił temi dniami odczyt na temat: „Sztuka i kwestya społeczna". Prelegent rozdzielił przedmiot na część teoretyczną i praktyczną. Najpierw dał zarys estetyki na podstawie rozwoju historycznego, poczem wyłuszczył, jak dzisiaj sztuka używaną być powinna. Żaden kontrast tak ludzi nie rozdziela, jak wykształcenie i ciemnota; ludzie wykształceni i ciemni istnieją obok siebie, jakby potomkowie różnych wieków, różnych krajów i o różnych językach. Zadaniem sztuki jest kłaść most łączący te dwa przeciwległe bieguny; jest to zadanie godne poezyi, muzyki, malarstwa, teatru. W tym duchu dzieje się dotąd bardzo mało, ale są dobre początki: biblioteki ludowe, potanienie książek, towarzystwa oświaty, teatry ludowe. Burgteater daje rocznie tanie popołudniowe przedstawienia dla 10.000 ludzi, którzyby inaczej nigdy do teatru nie przyszli. Biletów po 10 cent. rozchodzi się na każdem takiem przedstawieniu 230. Ale to wszystko jest bardzo mało wobec istotnych potrzeb. Teatr najsilniej może oświecać i wpływać na ruch umysłów, państwo zatem powinno znaleźć fundusze na to, aby przez teatr wpływać w kierunku kształcenia smaku, w kierunku nihilowania agitacyi wywrotowych, w kierunku zaspokojania potrzeb cywilizacyjnych, które wzrastają w szerokich masach ludu.

Defraudacya. W Eberswalde (w Niemczech) kasyerem miejskim był niejaki Lehmann, członek i kasyer eberswaldzkiej loży masońskiej. Z małego urzędniczyny, popierany wpływami masonów, został Lehmann kasyerem miejskim; gospodarzył jednak pieniędzmi miejskimi tak, że w ciągu lat dziesięciu zdefraudował 50.000 marek. Defraudacye były możliwe tylko dzięki niedostatecznej kontroli ze strony komisyi miejskiej, która, złożona z samych masonów, do kasyera swej loży miała nieograniczone zaufanie. Książki pozornie znajdowały się w porządku, ponieważ kasyer — nie zapisując pozycyi od czasu do w rubryce dochodu, a natomiast zapisując wydatki niebywałe — potrafił zawsze pogodzić bilans książek z zawartością kasy. Wreszcie jednak po sprzeniewierzeniu 50.000 marek rzecz się wykryła, poczem kasyer ratował się ucieczką do Berlina. Schwytano go tam i oddano w ręce sprawiedliwości. — Przed kilku dniami odbyła się przeciw niemu rozprawa i skazano go na pięć lat ciężkiego więzienia.

Czyn naśladowania godny i patryotyczny. W Kołomyi odbyła się dnia 26 zm. rozprawa karna przed ławą przysięgłych przeciw żydom z Kut: Selmanowi Tillingerowi i Pejsachowi Landwehrowi, o oszustwo, popełnione na góralach Rubańkach z Hryniawy przez wyłudzenie u ich rodzica Jusypa Rubańka za 150 zł. posiadłości górskiej, mającej wartość co najmniej 3000 zł. W trakcie rozprawy wyszły na jaw okoliczności mogące dać powód do powątpiewania w poczytalność umysłową Jusypa Rubańka, tak, że zachodziła obawa, iż żydzi wobec formalności ustawowych przy pomocy wykrętów odnośnych mogą wyjść cało ku szkodzie niepomiernie wielkiej Rubańków, których w takim razie odesłanoby na drogę zawiłego i długie lata wlec się mogącego procesu cywilnego.

Przewodniczący trybunału p. Buczacki zapytał jednak żydów, czy wobec tego, że zapewniają uroczyście, iż nie mieli zamiaru oszukania huculów i nieznaną im była wartość posiadłości, kontentowaliby się zwrotem ceny kupna i kosztów?

Żydzi pojęli w lot nebezpieczeństwo, jakie im grozi, gdyby objawili niechęć do ustępstwa. W takim razie leżałby jak na dłoni ich zły zamiar oszukania huculów, to też odpowiedzieli. „Niech Rubańki dadzą 200 zł. zaraz, wówczas my odstąpimy od kupna i zrzekamy się naszych praw z kontraktu."

Przewodniczący rzekł więc do huculów: „No, jeżeli macie pieniądze, to składajcie."

„Ne majemo, preświtlyj sude" rzekli huculi, „naj wże żydy berut' grunt."

Na to zbliża się do stołu trybunalskiego pan Alfred Miltsovits, naczelnik gminy w Hryniawie, i wyjmując pieniądze z zanadrza, podaje je i zwracając się do huculów, rzecze: „Jakto nie macie? Ot wasze pieniądze, składam je na stół trybunału!"

Cisza zaległa salę. Dla żydów nie było wyjścia. Musieli oświadczyć, że przyjmują 200 zł. odstępnego. Przewodniczący wezwał więc obecnego w sali w roli świadka rejenta z Kut Zarembę do odbioru pieniędzy i wręczenia ich żydom po załatwieniu formalności prawnych, a zwracając się do prokuratora p. Kowalskiego, prosi o postawienie wniosku. Prokurator oczywiście wobec takiego obrotu sprawy i takiej deklaracyi żydów, nie wiedząc, czy przysięgli potwierdzą pytanie choćby tylko w kierunku usiłowanego oszustwa, odstąpił od oskarżenia.

Zima.

„Nie winuj przyrodzenia skargami zuchwale,
Żeś mniej łagodne niebo otrzymał w podziale,
Że kiedy kwiaty barwią Erydanu brzegi,
Twą Wisłę lód krępuje, pola barwią śniegi",

śpiewał ongi jeden z naszych poetów i miał zupełną słuszność, gdyż w tym roku zima nie tak nam dała się we znaki, jak mieszkańcom południa. Goście z północy, którzy zimę chcieli przepędzić na południu uciekają stamtąd i chronią się do miast położonych na północy, gdzie znane są piece i gdzie osiadłszy przy ciepłym piecu można drwić z mrozu i zasp śnieżnych.

Na południu wszędzie mróz, śnieg, wszędzie zimno. Jedna z pań, która chciała zimę przepędzić w Neapolu, uciekła ztamtąd, a powód swej ucieczki opowiada w te słowa: „Zobaczyć Neapol... i zmarznąć, tak będzie odtąd brzmiało nowe przysłowie. Na palmach leży śnieg, kwitnące mimozy i inne rośliny dawno już od mrozu poczerniały, błękitna zatoka wygląda jak worek popiołu, od sześciu tygodni nie widać Wezuwiusza, zasłaniają go mgły śnieżne i chmury; wieje ciągle lodowaty tramontane, w nocy zimno aż do —5°, w południe czasami lżej do +3°; idzie się spać we futrach, a wstawanie rano, to tortury; co chwila pada śnieg, prawda, że niebawem topnieje, ale spada nowy. Jak oni tam mogą wytrzymać w letnich ubraniach i często bez ubrania, że cała ludność nie pada na influencę i zapalenie płuc, tego iuny Europejczyk nie pojmuje; nie mogłam wytrzymać, schroniłam się do ogrzanego *coupé* w wagonie i uciekłam..."

Wcale nie lepsze stosunki są w Hiszpanii, i tam zima i śniegi dały się we znaki. W Paryżu zimno mrozi wszystko, a jeden z jego mieszkańców, który w interesie zawitał w nasze strony, opowiada: „U nas w Paryżu klęska, nieszczęście, rozpacz; wychodzi się z domu, dygocąc od zimna, o dziewiątej wieczorem nie ma na bulwarach żywego ducha; magazyny lamentują, główna sprzedaż wieczorem zupełnie ustała. I trwa ten stan lodowaty, z małemi przerwami, już trzy tygodnie."

Statek „Elba", o którego zatonięciu donieśliśmy przed kilkunastu dniami, wiózł na swym pokładzie pocztę niemiecką do Ameryki. Więc, ażeby wydobyć z wnętrza statku pocztę i walory pieniężne dochodzące poważnej sumy 360.000 marek, dyrekcya północnego „Lloyda" zaangażowała najcelniejszych nurków krajowych i zagranicznych, którzy rozpoczną niebezpieczną swą pracę, skoro tylko łagodniejsza nastąpi aura. Zaangażowano dotąd trzech Anglików, dwóch Francuzów i trzech Niemców; w ich liczbie jeden Berlińczyk, Bristel, który po zatonięciu „Cymbryi" i „Wielkiego Elektora" dzielnością swoją pozyskał znaczną sławę. Na mocy umowy każdy z nurków obowiązany jest codziennie dziewięć razy zapuścić się w głębie morskie, a za każdą podróż podwodną bierze 20 marek, razem przeto dziennie zarobi 180 m. Dla znalazcy pieniędzy wyznaczono nadto 10.000 m.

Wśród mgły. W jednem z wydawnictw na rzecz rodzin dotkniętych straszliwą katastrofą „Elby" znajdujemy ustęp, dobrze charakteryzujący wrażenia, jakie człowiek odbiera na pełnem morzu, gdy mgła przysłoni nagle horyzont i okręt w popielatej mgli stej przestrzeni zatopi:

„Jechałem po morzu Czarnem z Sewastopola do Konstantynopola. Wyjazd odbył się według zapowiedzi w niedzielę dnia 31 maja o dziewiątej z rana. Po śniadaniu bardzo krótkiem wyszedłem na pokład czysty i biały. Maszty stały cicho z pozwijanymi żaglami, komin nawet nie dymił. Brzegi lądu znikły już oddawna. Niebo było bezbarwne, woda ciemna. Słońce nie pokazywało się na niebie, ale wielk

biaława jasność panowała nad nami. Nie słychać było żadnego szmeru, bo nawet śruba okrętowa pchała okręt niedostrzeżenie dla słuchu. Stojąc na pokładzie, nabierałem wrażenia wiślarza, który podkłada ręce pod głowę, wyciąga się w łódce i patrząc w niebo, daje się unosić fali, a od czasu do czasu zamyka oczy, bo go błękit nieba oślepia.

„Przyniosłem sobie wielki fotel drewniany, w którym leżało się jak w łóżku; zasiadłem wygodnie i popatrzywszy przez czas jakiś w przestrzeń, w której nie rysowały się żadne kontury, zamknąłem oczy. Po chwili, ukołysany ciszą, zasnąłem.

„....Nagle usłyszałem koło siebie ryk straszny, jakby wycie jakiejś bestyi apokaliptycznej. Był to gwizd syreny okrętowej, która co minutę dawała sygnały. Obudziłem się, ale nie widziałem nic. Z trudnością dostrzegłem poręcz mego drewnianego fotelu, który zniknął w jakiejś atmosferze białawej, gęstej. Podniosłem się i straciłem nawet fotel mój z oczu. Nie widziałem mych stóp, a gdym wciągnął przed siebie ramiona, widziałem na ich końcu jakieś dwie ręce miękkie, białawe, okryte rękawiczkami z mgły białawej... ręce, które nie należały chyba do mnie. Posuwałem się zwolna, opierając się ręką na baryerze burtu. Raz wychyliłem się poza baryerę i desperacko szukałem morza największemi wysiłkami wzroku.

To była mgła...

Nigdy nie miałem tak „plastycznego“ pojęcia o marności wszechrzeczy we wszechświecie, jak w chwili obecnej; nigdy nie miałem dosadniejszego wyobrażenia o zbyteczności wszelkiego usiłowania, wszelkiego dążenia do czegokolwiek. Taka tylko filozofia możliwa jest w umyśle nędznego osobnika rodzaju ludzkiego, gdy go taki ocean mgły pochłonie.

Wreszcie usłyszałem nieopodal głosy. Jeden z Francuzów, jadących na okręcie, spotkał się ze mną nos w nos.

— Niema niebezpieczeństwa?

— Niema.

I wstąpiła w nas otucha. Nie była to odwaga, lecz raczej tchórzostwo w przewidywaniu niebezpieczeństwa.

Mówiono coś o możliwem spotkaniu się okrętów przy takiej mgle gęstej.

— Morze Czarne nie jest o tej porze odwiedzane.

— Jednak yacht spacerowy miał powracać dziś z Konstantynopola do Sewastopola i z konieczności przeciąć nam musi drogę.

W tej chwili doznałem poczucia niebezpieczeństwa, które zarysowało się jasno wśród mgły. Tak, możemy, powinniśmy nawet spotkać yacht. Po kilku minutach nie przypuszczałem już, ale byłem pewny. Nie wiedziałem tylko, o której godzinie katastrofa nastąpi. Syrena okrętowa gwizdała co minuta, a każde gwiźnięcie mogło być już ostatniem. Myślałem o tem obojętnie. Wszystko, nawet strach ginął wśród mgły nieprzeniknionej. Najobojętniej w świecie oczekiwałem lada chwila uderzenia, wstrząśnienia, trzasku. I widziałem przed sobą jasno tę śmierć straszną, ale łatwą, jakby płynięcie w niebyt z oczami zawiązanemi, aby kurcze przedśmiertne towarzyszy niedoli nie raziły mi oczu.

Usiadłem znowu i pogrążyłem się w pewien rodzaj sennego oczekiwania na coś, co ma nastąpić lada chwila. Nie był to sen, ale nie było i czuwanie. W chwilach wielkich niebezpieczeństw całe życie człowieka przesuwa się jak w kalejdoskopie z szybkością nadzwyczajną. Teraz nie odczuwałem tego. Pamięć niosła mi tylko w tej chwili widoki wybrzeży Krymu, ozłocone słońcem, ukazującem się zrzadka z za chmur. Mówiłem tym widokom, jak w ogóle całemu życiu: „Do widzenia!“ Nie zwracałem się żadną myślą, żadnym żalem, żadną tęsknotą do istot żywych. Wśród tej mgły byłem sam, sam jeden. Powoli zmysły moje zaczęły tępieć, jakby pod wpływem chloroformu. Zdawało mi się, że nogi miałem zimne i umarłe, bom ich nie widział. Syrena okrętu gwizdała co minuta. Była to jedyna miara czasu.

Wreszcie miałem już dosyć tego stopniowego ziębnięcia na pokładzie. Zeszedłem do kajuty.

Przeszedł wieczór, położyliśmy się do snu. Spałem snem bardzo lekkim, ale ciągłym. Co minuta słyszałem gwizdanie syreny.

Nagle obudziła mnie cisza. Syrena gwizdać przestała. Przez okienko kajuty wdzierał się blask dzienny. Wybiegłem na pokład. Ostatnie strzępy mgły uciekały przed nami i ginęły w oddali. Bosfor uśmiechał się do zorzy, która różowiła krańce horyzontu“.

Zaginione typy. Jeden z czytelników nadesłał nam następującą reminiscencyę z przeszłości Lwowa: Na Halickim placu przed 50 laty były jatki w ziemię wpuszczone tak, że dach zaledwie po nad ziemię wystawał i służył nicponiom do wygrzewania się w lecie na słońcu. Jatki te nazywano „w Halickiej bramie“, gdyż były jeszcze „Krakowska“ i „Bosadzka brama“, ta ostatnia naprzeciw kościoła OO. Karmelitów. Przed jatkami na Halickiem, gdzie dziś sprzedają wodę sodową, był odwach, a na skrawku ziemi między jatkami a chodnikiem, wiodącym ku Bernardynom, przekupki sprzedawały w opałkach bułki i chleby. Od tłustego wtorku w pośrodku nich zajmował miejsce na podścielonych rogóżkach niski, krępy, czarny Ormianin Zacharyasz, bez ustanku na długim cybuszku palący fajeczkę, a ubrany w tatarską szubę, sprzedając postną rybę, zwaną „wyziną“. Ryba ta w kawałach pływała w cebrzyku, a tuż koło niej był stolik z wagą szalkową i kilka ciężarków. Przez cały wielki post i adwent tłumno było koło Zacharyasza, który śmiejąc się i żartując, pokazywał białe zęby przybyłym kucharkom. Na 14 dni przed Wielkanocą zjeżdżali rzeźnicy na plac Bernadyński ze szynkami, z schabami i kiełbasami i tam cały ruch kupujących się przenosił. Wyzinę sprzedawano na funty i oka, wędlinę zaś na sztuki i miary, jak: kiełbasę i schaby na łokcie. Miasteczka Zbaraż, Rawa, Uhnów, Trembowla, Gródek i t. p. dostarczały tych specyałów. Z pierwszem „Alleluja“, tj. wieczorem po rezurekcyi znikały wozy z wędlinami, a na czele ich Zacharyasz ze swoją wyziną. Po świętach zjawiał się Zacharyasz koło Ogrojca (katedry) ze słodyczami wschodniemi, jak: manną i chlebem bożym, który rąbiąc na kawałeczki, sprzedawał dziatwie. W czasie kiedy nastają owoce, typowy ów Ormianin znikał ze Lwowa z nabitą kabzą, jadąc na wschód za swoimi prowiantami. W jesieni zaś koło adwentu zajmował znowu swoje stanowisko. *Śniadowski.*

Z Załoziec piszą nam: Miasteczko Założce, położone na krańcach Galicyi, nawiedziła w roku zeszłym cholera. Najsilniej grasowała ta epidemia w Starych Założcach, a do roszerzania się jej przyczyniły się niezdrowe sanitarne stosunki. W Założcach Starych pośród licznych dokoła chat rozciąga się duży cmentarz żydowski; z niego rodzą się różnego rodzaju choroby, stan zdrowia naokoło okopiska jest najgorszy. Tu prawie każdego roku pojawiał się tyfus, tu zeszłego roku przy samem okopisku wybuchła cholera i dokoła cmentarza w czterdziestu przeszło panowała domach. Mieszkańcy czują, że miejsce to niezdrowe i powoli przenoszą się na inne miejsca, odległe od gniazda zarazy.

Słuszność im w zupełności przyznać należy, albowiem w miesiącach skwarnych (czerwiec, lipiec) niepodobieństwo przejść obok tego miejsca, takie wydobywają się wyziewy z kirkutu, około którego setki osób mieszka! Lekarz powiatowy przyrzekł cmentarz ten zamknąć w lutym rb.; ale niestety luty upłynął, a o zamknięciu ani wzmianki.

Mieszkańcy Załoziec upraszają przeto władze, aby zajęły się tą sprawą i przez usunięcie cmentarza ze środka miasta przyczyniły się do polepszenia zdrowotnego stanu miasta i uwolniły je od chorób epidemicznych, grasujących w Starych Założcach corocznie.

Oryginalne wydawnictwo. Wydawca paryski Flammarion wpadł na oryginalny pomysł, a mianowicie wydał bajki La Fontaine'a z ilustracyami, wykonanemi i skomponowanemi przez rysowników japońskich. Nietylko ilustracye, ale w ogóle całe wydawnictwo wykonane zostało w Tokio w sposób zupełnie japoński pod względem papieru, sposobu składania (jak albumy z miejsc kąpielowych, np. druk z jednej tylko strony, a drugiej wcale nie widać). Nawet zecerzy japońscy składali książkę: w Tokio bowiem istnieje szkoła drukarska, obejmująca języki niemal całej kuli ziemskiej. Ilustracye są bardzo oryginalne, szczególniej do bajek o „Wilku i bocianie“, „Żabie, równającej się wołu“ i kilku innych. Wydawnictwo to w dzisiejszych czasach japońszczyzny *à outrance*, mimo wysokiej ceny, ma powodzenie i powstał już projekt wydania w ten sam sposób „Telemaka“, „Salammbô“, „Bajek z tysiąca i jednej nocy“ i t. d. Sprawdza się powoli przepowiednia Nordau'a, że wkrótce może ludzie nie będą zwracali uwagi na treść książki, lecz na jej kolor, format, rodzaj perfum, którymi napuszczone będą kartki itp.

Raut na dochód Towarzystwa pracy kobiet urządza w przyszłym tygodniu w kasynie miejskiem p. dyrektorowa Marchwicka.

Od jednego z naszych prenumeratorów otrzymujemy następujące pismo:

Szanowna Redakcyo!

Pragnąłbym za pośrednictwem Szanownej Redakcyi zwrócić uwagę Swietnego naszego Magistratu na okoliczność, że absolutnie niedostatecznem dla zdrowia i bezpieczeństwa obywateli grodu stołecznego jest istnienie tylko na papierze rozporządzenia Magistratu o obowiązku właścicieli nakładania kagańców swym psom, lub nakładanie kagańców psom tylko w niektórych porach roku.

Ze względu bezpieczeństwa publicznego psy powinny być zawsze i wszędzie prowadzone na linewce lub mieć kaganiec, gdyż o nieszczęście nie trudno. Onegdaj, o czem może biuro sanitarne świetnego magistratu nie wie, wściekł się przy ulicy Kopernika pies będący własnością kapitana Sch., a ofiarą padł służący kapitana, którego odwieziono do Krakowa na klinikę. A teraz czy pies ten nie pokąsał innych? Któż zaręczy, czy nie będzie dalszych wypadków? Zaiste dziwną jest lekkomyślność władz w tej sprawie, wobec tak strasznego niebezpieczeństwa i częstych ofiar ludzkiego życia.

Rekolekcye. Ksiądz Stanisław Bratkowski T. J., założyciel istniejącej w naszem mieście od sześciu lat Kongregacyi Maryańskiej, złożonej prawie wyłącznie z młodzieży uniwersyteckiej, przybył w zeszłym tygodniu z Krakowa, na prośbę tejże, celem odbycia rekolekcyi wielkanocnych.

Rekolekcye znakomitego kaznodziei, pełne głębokiej wiary i gorącej miłości Ojczyzny, cieszące się niezwykłą frekwencyą słuchaczy, podniosły ducha i dodały siły młodemu naszemu pokoleniu do potykania się z przeciwnościami na ciernistej drodze życia, a wzruszającym rzeczywiście był widok, gdy po skończonych rekolekcyach cała młodzież przystąpiła do stołu Pańskiego.

Słowa głębokiej wdzięczności były podzięką dla niestrudzonego kapłana za poniesione trudy około dobra kongregacyi, a licznie zebrana młodzież żegnała wczoraj na dworcu kolejowym ze smutkiem odjeżdżającego z powrotem do Krakowa swego prawdziwego opiekuna i przyjaciela.

Zmarli. Izmaił basza, były kedyw egipski, umarł na wygnaniu w Stambule. Izmaił na stanowisku wicekróla odznaczył się jako zdecydowany zwolennik reform w duchu europejskim, na co głównie wpłynęła ta okoliczność, że całe wychowanie odebrał w Paryżu i z przyzwyczajeń i upodobań był czystej wody Francuzem. Ulubioną jego dewizą było: „Egipt nie leży w Afryce, ale w Europie“. Tej zasadzie poświęcił miliony i pod wielu względami rzeczywiście zmienił Egipt w kraj o pozorach cywilizacyi europejskiej, ale zarazem wyczerpał jego siły finansowe i przygotował sobie ruinę. 26 czerwca 1879 Porta na żądanie mocarstw europejskich, zaangażowanych w krachu, złożyła go z tronu egipskiego.

Stan powietrza. T. o 8 rano +2° R. w poł. +3° R. Bar. 746. Idzie w górę. Pochmurno.

Dla kontrastu.

— Ho, ho! Co widzę! Zaczynasz już drugą butelkę wina?

— To dla kontrastu.

— Dla kontrastu?

— A tak: Nasz wiek XIX jest tak trzeźwy...

Teatr. Dziś w poniedziałek „Madame Sans-Gêne“, komedya w 4 aktach Sardou. We wtorek „Walka motyli“, komedya w 4 aktach Sudermana. We środę „Ciepła wdówka“, komedya w 3 aktach M. Bałuckiego.

Literatura i Sztuka.

* **Teatr.** Mieliśmy już sposobność na tem miejscu podnieść tę dodatnią okoliczność, że obecna dyrekcya lwowskiego teatru zwróciła baczniejszą uwagę na sztuki mające stanowić główny repertuar dla popołudniowych przedstawień. W tym kierunku nie ustaje dyrekcya i w każdą niedzielę, lub święto ukazuje się na scenie sztuka odpowiednia, która nietylko oklaskiwana jest przez publiczność, ale robi kasę, zapełniając teatr szczelnie od góry do dołu. Tak było i na wczorajszem popołudniowem przedstawieniu. Dawano „Dyament króla duchów“ romantyczną, czarodziejską krotochwilę ze śpiewami. Jest to sztuka w 10 odsłonach, napisana bardzo dawno przez znanego niemieckiego autora Raimunda. U nas nie grano jej od jakich dwudziestu pięciu lat. „Dyament króla duchów“ ma jeszcze tę dobrą stronę, że jest sztuką stosowną dla młodzieży — to też wczoraj roiło się w lwowskim teatrze od jasnych i ciemnych główek naszych pociech i utrapień codziennych... Olbrzymi personal sztuki obejmował około czterdziestu osób, nie licząc osobno duchów, czarnoksiężników, ludu, wojska, mieszkańców wyspy „Prawda“, oraz zwierząt na scenie. Bardzo więc trudną, wymagającą niezwykłej energii i znajomości rzeczy, jest reżyserya takiej sztuki, zwłaszcza, że środki techniczne w lwowskim teatrze bardzo wiele pozostawiają do życzenia. Pokonał jednak wszystko p. Walewski i „Dyament króla duchów“ przez niego reżyserowany, pod względem wystawy, harmonii i czarodziejstw, robił wrażenie i wywoływał oklaski. Gra też artystów nie pozostawiała nic do życzenia — była staranna i żywa, choć rozprószona na mnóstwo epizodów i scen oderwanych.

W rolach większych, lub dosadniejszych wyróżnili się pp. Walewski, Kliszewski, Gasiński, Kiernicki, Dębicki, Skalska, Polkowska, Gosławska, Janikowski, Stróżewski i inni. *Iks Ypsylon.*

Walne zgromadzenie

gal. Tow. gospodarskiego.

Lwów 4 marca.

Dziś, przy bardzo licznem zgromadzeniu członków, rozpoczęły się w sali ratuszowej obrady galic. Towarzystwa gospodarskiego. — W zastępstwie prezesa Towarzystwa, ks. Adama Sapiehy, który na zebranie przybyć nie mógł, zagaił obrady wiceprezes Stanisław hr. Stadnicki. W długiem przemówieniu podniósł znaczenie Wystawy krajowej, która zdobyła dla nas uznanie u swoich i obcych, wykazała, że kapitał włożony przez rolników w rolę, wydał pomyślne owoce, że jakość ich pracy była dobrą. Wystawa wreszcie uzupełniła wiedzę i doświadczenie rolników tak, że z dumą i zadowolnieniem na nią mogą spoglądać i cieszyć się z odniesionych korzyści, które dodadzą otuchy i zachęty do dalszej żmudnej i ciężkiej pracy, najeżonej mnóstwem trudności. Dalej wspomniał o reformie podatkowej, która zdaniem mówcy włoży rolnikom do prawej kieszeni 1 ct., wyjmie zaś z lewej 2 ct. Z niepokojem również oczekuje stan rolniczy zaprowadzenia monopolu spirytusowego, który się zdaje grozić rolnictwu ogromną klęską.

Dalej poświęcił mówca kilka słów gorącego wspomnienia członkowi Komitetu Towarzystwa gospodarskiego ś. p. Schellenbergowi, którego pamięć zebrani uczcili przez powstanie. W końcu powitawszy p. Namiestnika, delegata Wydziału krajowego p. Romanowicza i delegata krakowskiego Towarzystwa gospodarskiego hr. Męcińskiego, wezwał przewodniczący zebranych, aby przystąpili do obrad i aby te obrady przyniosły pożytek rolnictwu i krajowi.

Sekretarz p. Skrochowski odczytał spis delegatów obcych Towarzystw, którzy biorą udział w obradach, oraz pismo krajowego Towarzystwa parcelacyjnego o poparcie jego celów.

Sprawozdanie z czynności Komitetu i oddziałów r. 1894 przyjęto do wiadomości bez dyskusyi. Referent sprawozdania z czynności oddziałów p. Mieczysław Onyszkiewicz stwierdził chwilową stagnacyę w oddziałach; przyczyną jej przygnębienie rolników z powodu niskich cen. Wystawa krajowa stwierdziła, iż oddziały Towarzystwa świadome są swych obowiązków.

W końcu uczynił p. Onyszkiewicz wniosek, aby powiat Nadwórnę wyłączono z okręgu oddziału Stanisławów-Bohorodczany-Nadwórna i utworzono w Nadwórnie osobny oddział, oraz aby powiat Jaworów wyłączono z okręgu oddziału przemyskiego i utworzono w Jaworowie osobny oddział.

Po krótkiej dyskusyi uchwalono w powiecie Jaworów utworzyć osobny oddział, sprawę Nadwórny zaś odroczono do posiedzenia poufnego.

Z kolei prof. dr. Tadeusz Pilat referował sprawę założenia muzeum rolniczego we Lwowie. W długiem przemówieniu podniósł mówca, iż muzeum takie odda wielkie usługi rolnictwu i będzie pomocą dla uczniów szkół rolniczych, szkoły leśnej itd. Komitet już poczynił wstępne kroki do utworzenia takiego muzeum i zakupił na wystawie mnóstwo okazów, które teraz pomieszczone są na politechnice i wniósł petycyę do Sejmu o subwencyę w kwocie 18.000 zł., do rządu zaś wkrótce wniesie.

W końcu przedłożył dr. Pilat następujące wnioski: 1) Rada ogólna uznaje poruszoną przez komitet myśl założenia muzeum rolniczego we Lwowie, oraz budowy domu na pomieszczenie tego muzeum i biór Towarzystwa za pożyteczną i poleca komitetowi, aby dołożył wszelkich starań celem rychłego wprowadzenia tej myśli w życie.

2) Rada ogólna upoważnia Komitet do użycia funduszu żelaznego na zakupno gruntu pod budowę domu na pomieszczenie muzeum i biur Towarzystwa, jednak pod warunkiem, że potrzebne subwencye z funduszów państwowych i krajowych na muzeum rolnicze zostaną zapewnione.

P. Romanowicz poparł wniosek Komitetu, zapewnił, że sejm na tak piękny cel nie będzie szczędził ofiar i pięknej myśli, powziętej przez Komitet, życzył „Szczęść Boże!“.

Oba wnioski powyższe uchwalono.

Z porządku p. Brykczyński przedstawił sprawozdanie o działalności komitetu dla podniesienia chowu inwentarzy oraz uwagi w sprawie handlu nierogacizną. Mówca podniósł, iż Komitet dokłada wszelkich starań, aby podnieść hodowlę bydła w kraju, a czyni to przez zakładanie obór zarodowych pełnej i pół krwi, stacyi buhajów dla włościan i urządzanie peryodycznych wystaw bydła włościańskiego oraz premiowanie najlepszych sztuk.

W sprawie hodowli owiec poczynił Komitet również wiele. Założył jedną owczarnię z rodową, którą powierzył p. Tadeuszowi Federowiczowi, zdobył tryka dla owczarni p. Kieszkowskiego w Łuce i przez zakupno odpowiednich tryków starał się o polepszenie rasy owiec włościańskich. Również przez zakładanie obór zarodowych dla nierogacisny starał się Komitet o podniesienie w kraju chowu świń.

Wkońcu podniósłszy, jakie utrudnienia tamują rozwój handlu nierogacizną, uczynił następujący wniosek;

Rada ogólna uchwali: Poleca się komitetowi wdrożyć rokowania z rządem oraz z jeneralną dyrekcyą kolei państwowych, aby konieczne dla handlu nierogacizną ulgi jak najprędzej w życie wprowadzone być mogły. Wniosek ten uchwalono.

St. hr. Dzieduszycki interpelował, dlaczego nie przedłożono zebranym sprawozdania w sprawie podniesienia chowu koni.

Odpowiedział na to p. Cielecki, że sekcya dla chowu koni odbyła mało posiedzeń, i nie mogła dla nawału materyału przygotować sprawozdania.

Nastąpiły obrady nad wnioskiem oddziału przemyskiego w sprawie rewizyi katastru gruntowego. Referował członek oddziału p. Górski.

Godzina 1 posiedzenie trwa dalej.

Dziś po południu odbędzie się o godzinie 5 posiedzenie poufne, jutro drugie posiedzenie jawne.

Rozmaitości.

— **Pożywienie a łysina.** Jeden z angielskich lekarzy dr. Mapother wystąpił z twierdzieniem, iż rodzaj pożywienia wywiera wielki wpływ na łysienie. Zdaniem jego włosy w składzie swym chemicznym zawierają przynajmniej 5% siarki a włosy popielatego koloru 20% krzemianu i 10% żelaza oprócz manganu. Owóż dwa pokarmy najbardziej właśnie rozpowszechnione wśród ludów cywilizowanych, wołowina i mleko, wskutek swego składu chemicznego niszczą zasadnicze owe składniki włosów i powodują zanik ich cebulek. Silnym dowodem tego ma być to, że u dzieci włosy dopóty bardzo powoli rosną, dopóki dzieci karmią się wyłącznie mlekiem. Natomiast rozmaite roślinne połączenia białkowate, mąka, a zwłaszcza jęczmień o ciemnej barwie, zawierający do 22 pct. krzemianu, mają się bardzo przyczyniać do bujnego porostu włosów. Ludy żywiące się przeważnie pokarmami mącznymi i roślinnymi, mają — zdaniem dra Mapothera — obfite włosy na głowach. Wprawdzie nie ma tak licznych i przekonywujących doświadczeń w tym względzie, aby można się było bezwzględnie pisać na teoryę dra Mapothera, że wegetaryanizm jest ochroną przed łysiną; to tylko jest pewnem, że niedostateczne i nieodpowiednie odżywianie się jest powodem łysienia.

SPORT.

W Chorzelowie trener E. Frost przygotowuje do wyścigów następujące konie hrabiego Jana Tarnowskiego: „Tęcza“ klacz kasztanowata sześcioletnia po Corsar od Odsiecz. „Telimena“ klacz gn. 5-letnia po Przedświt od Odsiecz. „Smok“ ogier gn. 4-letni po Blankenese od Something New. „Szlachcianka“ klacz gn. 4-letnia po Blankenese od Odsiecz. „Cham“ ogier gn. 3-letni po Pasztor od Laurel Crown. „Eneo“ ogier gn. 3-letni po Ilmur od Bezkońca. „Burza“ klacz gn. 3-letnia po Pasztor od Doniczego. „Wiosna“ klacz kaszt. po Biró od Odsiecz. Ogier gn. 2-letni po Biró od Odsiecz. Ogier gn. 2-letni po Metallist od Laurel Crown. Klacz gn. 2-letnia po Biró od Doniczego. Klacz gn. 2-letnia po Amethist albo Ilmur od S. M.

* * *

Wielki doroczny wyścig chartów „Waterloo Cup“ w Altcar w Anglii, który miał się odbyć 20 lutego b. r., musiał zostać odłożony z powodu trzaskących mrozów, które pościg za zającem czyniły niemożliwym.

* * *

Wdowa po zmarłym jenerale v. Kodolitsch, jak wiadomo, właścicielka dużej stajni wyścigowej w Austryi, zaręczyła się w Paryżu z hr. Verges d'Auffay urzędnikiem francuskiego ministeryum spraw zagranicznych.

Część ekonomiczna.

Wiedeń 2 marca.

(Z.) Burza, która przed kilku dniami przeciągnęła nad naszą giełdą, w ostatecznym rezultacie nie przyniosła pożądanej sanacyi jej stosunków. W pierwszej chwili rzeczywiście papiery nasze zmieniły właścicieli i jak to mówią przeszły w silniejsze ręce, t. z. z rąk okolicznościowych graczy, rozporządzających małemi funduszami, w ręce zasobnych spekulantów, którzy gdyby chcieli, potrafiliby je utrzymać kilka miesięcy, a w razie potrzeby nawet i kilka lat. Ale w tych silniejszych rękach były one zaledwie dwa lub trzy dni. Oświadczenie, złożone ze strony najbardziej kompetentnej, że wielkiego przesilenia w przemyśle cukrowym nie będzie, tudzież wymiar dywidendy austryackiego zakładu kredytowego w tej samej wysokości co w roku ubiegłym, znów rozbudziły optymizm i znów wszystko rzuca się do spekulacyi, a papiery wracają napowrót w słabe ręce. Praktycznym rezultatem krachu jest więc to tylko, że milionowy zysk z owych dni trwogi wpłynął do kieszeń wielkich spekulantów, którzy zebrali i przechowali u siebie chwilowo sprzedawane za byle jaką cenę papiery. Kontrmina berlińska, która w krytycznych dniach pokrywała swoje zobowiązania i temi zakupnami podtrzymywała kursa, znów zajęła stanowisko opozycyjne,—a zatem wszystko wróciło do dawnego stanu i znajdujemy się znów tam, gdześmy byli przed krachem. Obroty dzisiejsze były nieznaczne, 6 marca bowiem jest dzień rozpłaty zobowiązań ultimowych, zatem na razie wstrzymuje się każdy z większemi operacyami.

Ostatnie notowania:

Kredyty austr. 396·00, węgierskie 467.50, Anglobanki 176·75, Uniony 320.50, Bankvereiny 157.25, Länderbanki 289.10, Ludwiki 221·—, Czerniowieckie 307·25, Elbathale 277·25, Renta papierowa 101·60, srebrna 101·65, austryacka złota 125·15, 4% austr. renta wal. kor. 100·90, węgierska złota 124.25, 4% węgierska renta wal. kor. 99.30, dukat 5·80—, 20-frankówka 9·81, marki 12·10, ruble 1·32½.

§ **Pierwsza węgiersko-galicyjska kolej żelazna.** Dnia 1 marca 1895 odbyło się w Wiedniu w obecności notaryusza XXIII losowanie obligów pierwszeństwa I emisyi i XVII losowanie tych obligów II emisyi pierwszej węgiersko-galicyjskiej kolei żelaznej. Wylosowane zostały:

Pryorytety I emisyi: numera 55.206 do włącznie 55.494, razem 289 sztuk.

Pryorytety II emisyi: numera 4001 do włącznie 4108, razem 108 sztuk.

Nominalna wartość tych wylosowanych pryorytetów I emisyi wypłacaną będzie począwszy od 1 września 1895, zaś pryorytetów II emisyi począwszy od 1 lipca 1895 za zwrotem oryginalnych obligacyi wraz ze wszystkimi do nich należącymi kuponami płatnymi po tych terminach. Z dniem 1 września względnie 1 lipca 1895 ustaje dalsze oprocentowanie tych obligacyi, jeżeliby zatem brakowały kupony płatne po tych dniach, to wartość ich strąci się od kwoty, jaka za obligacye ma być wypłaconą.

Dotychczas nie podjęto jeszcze kwot za następujące, dawniej wylosowane obligacye, a mianowicie: Pryorytety I emisyi numera: 5169 5217 5225 5227 18550 18592 18657 18658 18659 55519 55535 55536 55537 55541 55551 55576 55584 55597 55603 55607 55647 55671 55676 55677 55680 55692 55707 55708 55709 55710 55713 55735 55750 55751 55752 55754 55755 55761 55765 55771 61513 61514 61515 61516 61517 61518 61519 61520 61556 71021 71027 71046 71048 71049 71050 71053 71062 71077 71085 71088 71089 71101 71111 71112 71138 71153 71221 71225 71244 71254 71255 93514 93517 93521 93541 93566 93570 93583 93589 93626 93627 93628 93645 93715 93716.

Pryorytety II emisyi numera; 530 531 2588 2589 4621 4622 4623 4624 4644 4645 13061 13062.

Telegramy „Przeglądu“.

Wiedeń 4 marca. Koło polskie wczoraj i przedwczoraj debatowało nad projektem reformy podatkowej i uchwaliło jednogłośnie przejść do debaty szczegółowej. X. Chotkowski domagał się, aby duchowni byli zupełnie wolni od podatków, X. Kopyciński zaś wykazywał, że włościanie i drobni rzemieślnicy nie doznają przez tę reformę żadnych ulg.

Na wniosek p. Byka polecono polskim członkom komisyi prawniczej zająć się gruntownie zbadaniem przedłożonego przez lwowską izbę adwokatów memoryału w sprawie procedury cywilnej.

W końcu wybrano komisyę parlamentarną Koła i powołano do niej tych samych posłów, którzy poprzednio w niej zasiadali.

Petersburg 4 marca. Car cierpi na ból gardła skutkiem przebytej influency i wczoraj nie odbył zwykłej przejażdżki.

HOTEL IMPERIAL.

KRZYSZTOF JANOWICZ

Lwów — ul. Trzeciego Maja l. 3.

Przyjechali dnia 3 marca. S. hr. Jabłonowski z Stanisławowa. W. hr. Olizar z Hladek. H. hr. Potworowski z Skały. A Skrzyński z Żurawna. A. Wiesiołowski z Prelipczy. J. Bronikowski z Rosyi. W. Czerwińska z Rosyi. B. Sass Brunner z Marcheg. W. Polański z Rudnik. M Rosner z Berna. W. Reynich z Fiume. R. Scharz z Abbazyi W. Granich z Berlina. A. Fink z Komornika.

HOTEL EUROPEJSKI.

ALBERT SZKOWRON i Spółka.

Lwów — Plac Maryacki.

Przyjechali dnia 3 marca. Dr. Czaykowski z Przemyśla. Dr. F. Kolischer z Wiednia. S. Pick z Pantałowic. S. Berger z Żółkwi. A. Stein z Krakowa. H. Keyser z Lincu.

HOTEL ZORZA.

Lwów — Plac Maryacki.

Przyjechali dnia 3 marca. E. Zagórski z Kołodziejówki. Z. Jaroszyński z Błudnik. W. Niezabitowski z Łanek. A. Raciborski z Spasowa. K. hr. Dzieduszycki z Siechowa. A. Garapich z Zagórza. E. Wolski z Hawłowic. St. Zwolski z Bryniec. K. Wierzchleyski z Stawczan. W. Gniewosz z Kontów. W. Bzowski z Pantałowic. J. Gnoiński z Cieszanowa. A. Brykczyński z Pacykowa. A. Cielecki z Porchowy. J. hr. Baworowski z Koltowa. A. hr. Potocki z Ossowiec. K. Siwicki z Cieniawy. P. Jakobenz z Łubkowiec. S. Schwabacher z Mnichowa. K. Reich z Węgier.

Nadesłane.

Rubryka ta nie pochodzi od Redakcyi, nie bierze też ona za nią na siebie żadnej odpowiedzialności.

Lwów dnia 4 marca (Z Izby handlowej).

Akcye za sztukę: Kolej gal. Karola Ludwika 200 zł. m. k. 220·— do 223·—, Kolej Lwowsko-Czern.-Jasski po 200 zł. w. a. 306.25 do 309·25, Banku hypotecznego po 200 zł. w. a. 455.— do —.—.

Listy zastawne za 100 zł.: Banku hipot. galic 5 proc. los. w 40 lat. 101·40 do 102·10, 5 proc. z 10 proc. prem. 110·30 do 111·—, 4 i pół proc. los. w 50 lat. 100.30 101·—, Banku kraj. 4 i pół. proc. los. w 51 lat. 100·80 do 101.50, Banku kraj. 4 proc. los. 57 lat. 97·50 do 98·20 Tow. kred. gal. ziem. 4 proc. (I emisya) 98·50 do 99·20, 4 proc. los. w 41 i pół latach 98·— do 98·70, 4 proc. los. w 56 lat. 97·80 do 98·50.

Obligi za 100 zł.: Gal. fund. propinacyjnego 4 prc. 97·90 do 98·60 Bukowińskiego fund. propin. 5 proc. 102.— do —.—, Kom. Banku kraj. 5 proc. (II emisyi) 102.00 do 102·00 Pożyczki kraj. 6 proc. 105·50 —·—, 4 pół proc. 100.50 do 101.20, 4 proc. z r. 1891 97.60 do 98·30, 4 proc. po —·— koron z roku 1893 98·— do 98·70.

Monety. Dukat cesarski 5·79 do 5.89, Napoleondor 9.77 do 9.87, Półimperyał 10.10 do —.—, Rubel rosyjski srebrny czy papierowy 1.28 do 1.33, 100 marek niemieckich 60.35 do 60·80.

Wiedeń 4 marca (godz. 11 w połudn.) Kredyty 396.25, kred. węg. —.—, Anglobank 178.—, Uniony —.—, Bankvereiny —.—, Länderbanki 289.50, Akcye tyton. 255.25, Staatsbahny 396.75, Lomb. (z kup.) 109.—, Elbethale —·—, Renta pap. —.—, Renta węg. 4% kor. —.—, Renta węgierska złota 4% —.—, Alpiny —·—, Marki 60.50, Losy tureckie —·—.

OSTATNI WYROK

POWIEŚĆ

MAKSWELLA GRAYA.

Tłómaczyła z angielskiego baronowa Zofia Hartingh.

(Ciąg dalszy).

— A gdzie mieszkasz, maleńka?

— W niebie — odparła z niewzruszonym spokojem i pewnością.

— Cóż znowu? Nie... Andrea musi przecież mieszkać w jakimś domu na ziemi. No, powiedz, gdzie mamusia mieszka?

— W niebie — powtórzyła dziewczynka.

— No, ale ty przecież... zkądżeś się tu wzięła? Mów...

— Z nieba.

Skryta dziewczynka, rozkoszując się w duchu zakłopotaniem, w jakie jej odpowiedzi wprowadziły starego pana, poszła dalej swoją drogą, odmawiając wszelkiego objaśnienia, z twarzyczką bardzo bladą, uśmiechniętą i zagadkową jak sfinks.

Zdarzyło się, że Grandpère w jakiś niewytłómaczony sposób popełnił wielkie jakieś przewinienie, za które został surowo ukarany, co znów wywołało takie żałośne kwilenie biednego przestępcy, że mała mateczka musiała upieścić go i utulić do snu, kołysząc w ramionach miarowym ruchem, który ją samą zmorzył. Długie, czarne rzęsy zasunęły się nad zmęczonemi oczkami, a drobna postać zaczęła się chwiać to w jedną, to drugą stronę.

Nagle tętent kopyt końskich odezwał się w pobliżu. Dziewczynka zbudziła się znienacka i zerwała na nóżki chcąc uciec. Naraz spostrzegła tuż przy brzegu śliczny domek jakby wyrosły z popieli. Był to statek, którego właściciele posilali się obecnie w zajeździe „Pod trzema wiosłami“. Przez zarzuconą kładkę Andrea z łatwością przedostała się na pomost i wyśledziwszy zaciszny kącik wśród mnóstwa porzuconych w kącie worków, schroniła się wśród nich i zmęczona długim spacerem, słońcem i rozmaitością niezwykłych przygód, zasnęła wkrótce z lalką na ręku. W pół godziny potem właściciel statku powrócił na brzeg pijany z żoną również rozmarzoną trunkiem i senną. Łódź popłynęła dalej za prądem wody.

Gdy Andrea przebudziła się pokrzepiona długim snem i cichutko wysunęła się ze swego ukrycia, taki ciekawy widok przedstawił się jej oczom, a ślizgający ruch statku po fali wydał się jej tak rozkosznym, Grandpère przytem był tak zaciekawiony tem, co mu pocichu tłómaczyła na uszko, że długi czas nie zwracała wcale niczyjej uwagi na siebie. Pod wieczór dopiero uczuwszy głód, zaczęła się dziecina oglądać za jakim posiłkiem, a napotkawszy na pokładzie gospodynię znajdującą się w fazie pijanego rozczulenia, spokojnie zażądała od niej herbaty. Kobieta zaspokoiła natychmiast jej żądanie, nakarmiwszy ją przytem kołaczem i wędzonemi śledziami. Schwyciwszy małą za ręce, zasypała ją gradem pocałunków i potokiem łez, bełkocząc przytem coś niewyraźnie; mąż jej również okazał się czułym i jowialnym aż do chwili, kiedy wpadł w złość i zaczął bić swoją żonę. Powstał wtedy krzyk i lament; Andrea jak wystraszone kociątko wymknęła się z pola bitwy i schroniła się płacząc do swego kącika, gdzie niebawem zasnęła znowu pośród worków.

Nazajutrz rano jej zjawienie się na pokładzie wywołało niemałe zdziwienie wśród pary małżonków wytrzeźwionych już należycie. Oboje zapomnieli zupełnie o zdarzeniu dnia poprzedniego. Mały, nieproszony gość nie umiał objaśnić ani jak się nazywa ani zkąd pochodzi; płacząc tylko dopominał się o śniadanie. Kobieta chciała małą zatrzymać na statku dopóki nie trafi się jaka sposobność powierzenia jej komuś, ktoby zajął się odszukaniem jej rodziny, ale mężczyzna był przeciwnego zdania.

— Co za potrzeba — rzekł — zaprzątać sobie głowę jakimiś bębnami.

To też kiedy w pół godziny potem mijano po drodze małe miasteczko, Andrea wysadzona została na brzeg z kawałkiem ciastka w ręku i z poleceniem, aby szła prosto przed siebie aż do głównej ulicy.

— Tam znajdziesz mamę — powiedziano jej na pożegnanie, któremu to zapewnieniu mała święcie uwierzyła. W tej nadziei pobiegła naprzód i przeszła przez całe miasteczko rozglądając się dokoła, aż w końcu cała uwaga jej została pochłonięta widokiem czarnej kotki bawiącej się w słońcu z kociętami, przed domkiem na przedmieściu odgrodzonym od gościńca nizkiemi sztachetkami, z po za których widać było kilka rabatek kwiatowych.

Trudno sobie było wyobrazić coś rozkoszniejszego nad miękkie i szybkie ruchy tej ślicznej, zwinnej kotki o lśniącem futerku i zielonych oczkach. Siedząc w progu przeciągała się niekiedy, to skręcała w kółko, to znów lizała sobie tak zabawnie łapki, nie zważając na trzy czarne, wesołe kociątka, które atakowały jej ogon podobny do puszystej kity.

Andrea z twarzyczką przytuloną do sztachet stała patrząc z zaciekawieniem i na chwilę nawet zapomniała o Grandperze, który potrzebował jej starań, gdyż wziął zimną kąpiel w ubraniu, z którego woda sączyła się teraz kroplami. W końcu cała kocia rodzina ułożyła się społem do snu, który zmożył również dziewczynkę stojącą u furtki. Osunęła się na piasek i zasnęła głęboko w południowem słońcu.

Gospodarz domu, wyrobnik z sąsiedniej fabryki, spostrzegł ją wracając do domu na obiad i obudził zapytaniem, zkąd się tu wzięła? Nie mógł jednak nic wydobyć z niej, oprócz objaśnienia, że nazywa się Andrea, że mieszkała z Esterą i Iimem i że mamusia była w niebie. Wziął ją więc z sobą do domu, gdzie żona jego umyła ją, uczesała i nakarmiła. Ona przyjmowała te usługi z filozoficznym spokojem jakby słusznie jej należne. Gospodarz tymczasem z żoną zastanawiał się głęboko nad przypuszczalnem jej pochodzeniem; zauważył, iż ubrana była lepiej od dzieci pochodzących z ubogiego, włościańskiego stanu i zwrócił uwagę na zawieszone na jej szyi czarne paciorki, połączone srebrnym łańcuszkiem, zakończonym krzyżykiem.

— Po tem jednem będą mogli ją poznać — rzekł. — Po obiedzie zaraz pójdę na policyę i zostawię tam jej opis szczegółowy. Rodzice jej muszą mieszkać w mieście, albo może po drugiej stronie rzeki.

— Ona mówi, że wyszła z wody i że idzie do nieba. (biedactwo — litowała się poczciwa kobieta. — Co tu z tego można wnosić? Prawdopodobnie musi to być sierotka... Gdzież jest twój ojciec, aniołku?

— W niebie.

— Słyszysz, mężu? Widocznie rodzice ją odumarli.

Tymczasem ojciec Andrei w pełni życia i zdrowia spędzał wielkanocne święta w Swanbourne. Z młodą i śliczną żoną przechadzał się pod rozkwitającemi lipami, tworząc plany na przyszłość i pełną piersią chłonąc w siebie uroki wczesnej wiosny, która czarowne ramy tworzyła dla jego szczęścia. Błękitne niebo, spoglądające z po za świeżej zieleni drzew, było bez chmurki, skowronki śpiewały w polu, zapach zmięszanych aromatów zalatywał z nad pól i lasów.

— Rok temu o tej porze — mówiła Gracya.

— Byłem nieżonaty, nieskrępowany, swobodny jak ptak — uśmiechał się Andrzej.

— O, jakażto różnica dla nas obojga! — z nagłym wybuchem uczucia zawołała Gracya. — Andrzeju mój, zdaje mi się, że teraz dopiero zaczęłam żyć!

On spojrzał na nią wzrokiem, w którym skupiła się cała jego dusza. Był, jakby pijany szczęściem, nad którego pełnią nieledwie nie śmiał się zastanawiać. Życie stało się dla niego snem rozkosznym, w którym pogrążał się nie oglądając się na przeszłość, ani na przyszłość. Orestes, uwolniony od furyi piekielnych, nie czuł się swobodniejszym niż on od chwili, gdy zamienił przysięgi ślubne z wybraną swego serca. Blada twarz Renaty nie stawała już teraz pomiędzy nimi; myśl, że swojem postępowaniem skłonił ją może do szukania samobójczej śmierci, przestała go dręczyć; obawa, że przeszłość wyjdzie kiedyś na jaw, została usunięta na stronę. Gracya pokładała w nim bezwzględne zaufanie; dziecko znajdowało się w dobrych rękach, wiedział o niem i pamiętał o jego potrzebach, choć nie czuł się w obowiązku odwiedzać go często, zwłaszcza że mała okazywała mu wrodzoną niechęć, stroniąc zawsze uparcie od niego. Wszystko więc ułożyło się pomyślnie. Jeżeli przeszedł ciężką próbę, jeżeli z nadmiaru cierpienia o mało nie utracił zmysłów, jeżeli przeszłość jego była kartą zapisaną krwią i łzami, za to chwila obeczna wynagradziła mu wszystko. Był wyleczonym i szczęśliwym nareszcie.

ROZDZIAŁ III.

Rozkoszne dni płynęły niepostrzeżenie dla poślubionych kochanków. Nadeszła pora ogólnego zebrania władz sądowych, na które Andrzej zmuszony był udać się do miasta. Gracya, ze względu na stan zdrowia, nie towarzyszyła mężowi w podróży. Pierwsze to, aczkolwiek krótkie rozstanie, przykrem było dla obojga. Skracali je też, pisując codziennie do siebie długie listy, zawierające najdrobniejsze szczegóły potocznego życia.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Odpowiedzialny redaktor: Ludwik Masłowski. Papier z fabryki Braci Fijałkowskich w Białej. Z drukarni nar. W. Manieckiego. Zarządca W. Hodak.